

Piotr Tymiąski

PRZYBYSZ



NOVAE RES

Piotr Tymiński

PRZYBYSZ



NOVAE RES

Jurkowi opowieść tę poświęcam.

Spis treści

[PRZYBYSZ](#)

Wojna... Czy to słowo mnie przerażało? Chyba nie. Początkowo pewno nawet nie bardzo je rozumiałem. Owszem, mówiło się o niej, tata w dwudziestym roku walczył w obronie Polski, a zanim Niemcy na nas napadli, ludzie chyba wierzyli, że i tę agresję uda się odeprzeć.

Wrzesień trzydziestego dziewiątego roku miał być moim pierwszym miesiącem szkoły. Tak się nie stało. Zamiast tego pamiętam strach matki podczas bombardowania i gruzowisko po zawalonych budynkach na placu nieopodal naszego domu. Ojca zmobilizowano do wojska, niebawem jednak wrócił z wojaczki, podobno nie było dla niego munduru. Czy była to prawda, czy tak rozповідаł na wszelki wypadek – tego nie wiem. W każdym razie nikt nim się nie interesował. Przed zimą tacie udało się zorganizować skądś szyby; wstawił je w wybite podmuchem bomby okno. Potem pomagałem ojcu szklić u sąsiadów, a mój wkład w pracę sprowadzał się do trzymania kitu w ustach, by nie zasechł.

Późną jesienią wreszcie rozpoczął się rok szkolny. Pomimo wszystko pójście do pierwszej klasy było dla mnie dużym przeżyciem. Nie pamiętam, ile dzieci siedziało w ławkach. Przed oczyma mam silącą się na uśmiech lekko siwiejącą panią nauczycielkę. Moją uwagę przyciągnęły ślady nad tablicą po zdjętym godle i zdjęciach wybitnych Polaków (tak wyjaśnił mi je starszy kolega). Czasem, gdy patrzę na świadectwa oznaczone hitlerowskim orłem, przeszywa mnie dreszcz na wspomnienie

tamtych czasów.

Z grozą okupacji stykałem się dość często, choć jako młody chłopak nie zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. Wielkie wrażenie wywarli na mnie w czterdziestym drugim roku wisielcy. Samej egzekucji nie widziałem, ale przez placyk, na którym stały szubienice, przechodziłem codziennie do szkoły. Żandarm kilka dni pilnował, aby nikt nie zdjął skazańców. Poruszani podmuchami wiatru, wyglądali niczym kukły. Ich spuchnięte, szerniałe twarze, szelest napiętych sznurów i miarowy krok przechadzającego się Niemca śniły mi się czasem. Dlaczego ich powiesili? Nie wiem.

Zdażyłem też na własnej skórze zetknąć się z brutalnością hitlerowskich zdobywców. Czy to podczas kontyngentowego kolczykowania krów, gdy Niemiec sieknął mnie szpicrutą po plecach, czy w czasie moich kilku wizyt w Warszawie, gdy widywałem łapanki i ludzi upchanych na ciężarówkach. Z twarzy tych nieszczęśników wyczierało przerażenie. Dokąd ich zabierali? Uliczna wieść niosła, że na roboty albo do obozu. Gdy byłem tam z mamą, czułem jej lęk. Spokój mojego taty w takich sytuacjach upewniał mnie z kolei, że nam nic nie grozi. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że zachowywał go, bym się nie bał.

Mój ojciec Leon Przybysz był rolnikiem bez ziemi. Przez lata wojny miał się różnych zajęć u ludzi. Mama Stefania pracowała dorywczo i zajmowała się domem, czyli nami. Starszym ode mnie o dwa lata bratem Ryśkiem, mną - Bronisławem, młodszym o kolejne dwa Wieśkiem, chorowitą siostrą Lidką urodzoną w trzydziestym siódmym i najmłodszym szkrabem Stanisławem. Mieszkaliśmy w Markach w budynku z czerwonej cegły, na parterze. Do dyspozycji mieliśmy jedną izbę z wydzieloną kuchnią, będącą królestwem mojej mamy. Mieszkanie miało dwa

duże okna usytuowane naprzeciw siebie. Jedno od strony drogi na Zielonkę, tam mieliśmy mały ogródek. Przed wojną mama hodowała w nim kwiaty, a od pierwszej okupacyjnej wiosny przeważnie warzywa. Drugie okno wychodziło na podwórze, od tej strony znajdowało się również wejście do budynku przez sionkę. Nasze drzwi były po prawej stronie korytarza. Środek pokoju zajmował stół i krzesła. Łóżka obstawiały ściany, mieliśmy też dużą szafę i drewniany kufer, na którym można było od biedy siedzieć. Za szafą w rogu pokoju mieściła się umywalnia, czyli miska na stojaku, wiadro i dzban z wodą. Dla siedmiu osób było tam trochę ciasno, ale czasem nawet wesoło.

W naszej rodzinie, jak to mówią, nie przelewało się, więc od pewnego momentu i ja zacząłem najemną pracę. A to tłułem źle wypalone cegły w cegielni albo wypasałem krowy u okolicznych gospodarzy. Zdarzało się, że z tatą i Ryśkiem chodziliśmy wykopywać karpy na karczowisku albo odławiać karpie w parafialnym stawie. Nie były to łatwe zajęcia dla dziecka, choć w trakcie wojny szybciej się dorastało.

Czasem do naszego ojca przychodzili sąsiedzi i dyskutowali na różne polityczne tematy. Zdarzało się, że tata kazał mnie i Ryśkowi obserwować, czy pod domem nie czai się ktoś obcy albo czy nie nadchodzi mieszkający w pobliżu policjant. Miał on zwyczaj zaglądać do nas niespodzianie na wódkę. Wokół mieszkało wielu najemnych robotników i choć wtedy nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę, wśród nich przeważały poglądy socjalistyczne. Nie wszystko rozumiałem z pisemek, które na polecenie ojca niekiedy czytałem zebranych osobom, ale hasła typu: „Ku Ludowej Rzeczypospolitej” albo „Partia z Rządem, Narodem i Naczelnym Wodzem”, zapadły mi w pamięci.

Gdzieś od początku czterdziestego czwartego roku dorośli

coraz częściej rozmawiali o Rosji Sowieckiej. Słyszałem te ich wieczorne gorące dyskusje.

- Jak to będzie, gdy przyjdą czerwoni?

- Czy pozwolą na wolną Polskę?

Niektórzy mówili, że teraz to wreszcie Polska będzie socjalistyczna i każdy będzie miał pracę, chleb i dach nad głową. Ale inni ostrzegali:

- Żeby tylko bolszewicy nie zrobili nam nowego Katynia.

Ową nazwę pamiętałem jeszcze z zeszłego roku, kiedy to mówiono na temat tego mordu.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku miałem dwanaście lat i jak na swój wiek byłem podobno wysoki. Chudy ciemny blondynek strzyżony na krótko o pociągłej twarzy z jasnoniebieskimi oczyma. Wówczas nawet przez chwilę nie myślałem, że wokół mnie toczy się historia. Armia Czerwona potężnie gromiła znieawidzonego przez nas okupanta. Z konspiracyjnej prasy wiedzieliśmy, że alianci biją Niemców na zachodzie. Słyszeliśmy również o wspaniałym zwycięstwie naszych pod Monte Cassino. Ale tamte działania były odległe - my oczekiwaliśmy wyzwolenia. Obserwując dorosłych, widziałem nadzieję i nierzadko obawę oraz zawziętość. Tę ostatnią szczególnie, gdy rozmawiali o walkach polskiego podziemia na wschodnich rubieżach kraju. Niewiele mi to wtedy mówiło, ale byłem dumny, że Polacy nie tylko wertują gazetki.

Coraz częściej do naszych uszu docierał jeszcze odległy pomruk frontu wschodniego. Pamiętam, że ten niesiony z daleka pogłos wywołał we mnie pewien rodzaj niepokoju i fascynacji. Dziś już nie wiem, czy autentycznie czułem lekkie drżenie ziemi, czy było to tylko złudzenie. Wszyscy żyliśmy oczekiwaniem na nieuchronne wydarzenia. Ludzie szeptali między sobą:

- Już niedługo, jeszcze aby tych kilka dni przeczekać i czerwoni pogonią hitlersynów.

Większość oczywiście zastanawiała się, jak w tym gorącym okresie zapewnić przetrwanie najbliższym.

W lipcu nawet my, dzieci, odczuwaliśmy, że wolność zbliża się wielkimi krokami. Z chłopakami z sąsiedztwa chodziliśmy do szosy Warszawa-Białystok i patrzyliśmy na uciekających Niemców. Droga wypełniona była masą żołnierzy i cywilów walącą na Warszawę. Jechały furmanki załadowane różnymi bambetlami i sprzętem wojskowym. Czasem próbowały przepchnąć się przez tę ciżbę samochody. Na twarzach człapiących piechurów nie było widać ich wcześniejszej buty, tylko zmęczenie i strach. Obserwowaliśmy ten pochód pobitej armii z satysfakcją.

Jednego z tych upalnych dni wszyscy byliśmy w domu. Okna i drzwi dla lepszego przewiewu były rozwarte na oścież. Matka gotowała zupę na obiad. Moja siostra Lidka leżała chora w łóżku. Ojciec reperował buty, a ja z bratem Ryśkiem opowiadaliśmy o wehrmachtowcach, których rano widzieliśmy, wynędzniałych i zajętych pędzonym stadem owiec. Moi młodszy bracia Wiesiek i Stasiek ganiali po podwórku.

Przez otwarte drzwi wbiegł nagle Wiesiek, ciągnąc za rękę dwuletniego brata.

- Tato, mam, Niemcy!

Podszedłem do okna, po podwórzu kręciło się kilku ludzi w szarzielonych mundurach, jeden z nich miał na głowie charakterystyczną czapkę kozacką. Ojciec wyszedł z mieszkania i stanął na schodku.

- Wodki dawaj! - krzyknął któryś z przybyłych.

Z szopy przyległej do sąsiedniego budynku wychynął kolejny

żołdak.

- Braha tu jest nastawiona - zawołał radośnie.

- Panowie - zaczął tata - wódka się skończyła, dopiero postawiłem zacier.

- A dziółszki u ciebie są? - zapytał ten w kozackiej czapce, szczerząc złote zęby w niby uśmiechu.

- Synów mam, a bimber będzie za tydzień.

- A to bolszewików chcesz ugościć, swołocz - ze złością w głosie powiedział żołnierz. - A nas, braci Ukraińców, nie uraczysz?

- Panowie, żadne tam goszczenie bolszewików mi nie w głowie, chętnie z wami zupą się podzielimy, choć u nas bieda i zupa cienka.

- To pewnie polski bandyta - stwierdził inny, zdejmując karabin z ramienia.

- Wódki chcemy - powiedział kolejny z „gości”, zagładając do mieszkania przez okno od strony drogi. - A może i czego innego. - Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni okrągły granat i cisnął do garnka na kuchni.

Podbiegłem do mamy, chcąc ją odciągnąć. Ona przygarnęła mnie i Wieśka do siebie, Stasiek stał uwieszony na jej spódnicy. Niemal w zwolnionym tempie widziałem, jak gliniany garnek pęka i zupa wylewa się na kuchnię. Zaskwierczał zalany ogień, a kłęb pary unoszącej się ku górze wypełnił mi oczy i po policzkach ciurkiem pociekły łzy. Matka starła je swą spracowaną szorstką dłonią. Przerażony czekałem na nieuniknione. Wybuch jednak nie nastąpił.

Ukrainiec wepchnął tatę lufą karabinu do mieszkania, pytając:

- Ty, a u sąsiadów wódka jest?

- Nie wiem.

- A gdzie tu dziewczyny mają? No gadaj! - krzyknął, repetując broń.

- Tu same stare baby i chłopcy, panie oficerze.

Mężczyzna w kozackiej czapce kiwnął na swoich podwładnych.

- Idziemy dalej - poleciał.

Żołdacy opuścili nasze mieszkanie, zajęli się przetrząsaniem strychu i wtargnęli do sąsiadów.

- No to po zupie - powiedział ojciec i podchodząc do skorup z rozbitego garnka, szybkim ruchem zdjął z fajerki niewybuch. Obejrzał granat dokładnie. - Nieuzbrojony, na szczęście - mówił z lekkim drżeniem głosu.

Mama stała wyprostowana, tylko po trzęsących się dłoniach można było odczytać buzujące w niej emocje.

- Bronek, biegnij do Orzechowskich, niech ich córki do nas przyjdą, szybko - rozkazał tata.

- Gdzie ty Dzidka wysyłasz? - z wyrzutem powiedziała matka.

- Cicho, kobieto, dziecku nic nie zrobią.

- Nie pozwalam! - zaprotestowała.

Tata zbliżył się do mamy i pogłaskał ją po ramieniu.

- Nie ma czasu na dyskusję. - Spojrzał na mnie. - Idź.

Wyskoczyłem na zewnątrz i przez podwórko pognałem do budynku obok. Zajrzałem do środka przez otwarte okno. Sąsiadka stała nad balią z zakasnymi rękawami; przerwała pracę, nasłuchując dźwięków dochodzących z ulicy. Jej dwie nastoletnie córki pomagały w domowym zajęciu. Zapatrzyłem się na podobne do siebie jak dwie krople wody dziewczyny. Ubrane w identyczne jasnozielone sukienki i ze zwisającymi, grubymi jak mój nadgarstek ciemnymi warkoczami, były dla mnie nie do

rozdzielenia. Kiedy szli razem ulicą, nigdy nie miałem pewności, która jest która.

- Pani Orzechowska - zawołałem cicho - Ukraińcy tu idą, ojciec mówi, żeby dziewczyny do nas biegły.

- Irka, Mirka, galopem do Przybyszów!

Piętnastoletnie bliźniaczki wypadły z domu jak oparzone, ruszywszy za mną. Poprowadziłem je wzdłuż drewnianego płotu, gdzie rosły gęste krzaki. Na czworakach niezauważeni dotarliśmy do szopy. Pozostało pokonać dość rozległe podwórko. Rozejrzałem się na boki. Pod oknem domu Orzechowskich, w które niedawno zaglądałem, stało dwóch Ukraińców.

- Naprzód! - rozkazałem, podrywając się z ziemi.

Kiedy tylko przekroczyliśmy próg, tata nakazał mamie:

- Przebieraj je za stare baby.

Mama wyciągnęła z szafy jakieś kiecki, z kufra chustki i dwie kolorowe kapy. Siostry szybko nałożyły na siebie wręczone ubrania, zakrywając się skrętnie. Ojciec wygrzebał z paleniska popiół i kazał dziewczynom się pobrudzić.

Z zabudowań po drugiej stronie ulicy dotarły do naszych uszu ukraińskie wrzaski. Krzyczał też pan Jasiński, żeby zostawili jego córkę. Potem umilkł, a my słyszeliśmy straszne jęki Jagody.

- Gwałcą ją, sukinsyny! - stwierdził mój tata.

Umorusane dziewczyny siedziały sztywno, tylko rozbiegane oczy wskazywały na ich podenerwowanie.

Na podwórko weszła kolejna grupka podpitych rzezimieszków, żądających wódki.

- Nie mam, panowie, nie mam. Dopiero zacier się robi - odpowiedział ojciec, stojąc w oknie.

- A dziewczuszki u ciebie są? - pytał żołnierz w szwabskim mundurze z przewieszoną pepeszą przez pierś.

- U mnie stare baby i chłopcy.

Ukraińiec wszedł do środka chwiejnym krokiem, na odległość czuć było od niego alkohol. Chwilę postął, omiatając mętным wzrokiem poprzebierane i pobrudzone sadzą dziewczęta. Burknął coś pod nosem, zawrócił w miejscu i poszedł szukać zdobyczy gdzie indziej.

- Chłopcy do okien - poleciał ojciec. Odsuwając stół, zdjął dywanik i uniósł klapę od piwniczki. - Orzechówny, na dół, Stefka, ty też.

- Ja zostanę, mną się nie interesowali - stwierdziła moja mama.

- Na razie, a jak zdrowo popiją, to kto wie. Ty nieduża jesteś, pijani pomyślą jeszcze, żeś młoda dziewczyna. Złaz na dół i siedźcie cicho, co by tu się nie działo.

Mama chciała zaprotestować, ale tata złapał ją lekko za ramiona i przymusił do zejścia po schodkach. Następnie zamknął właz, idealnie dopasowany do drewnianej podłogi. Pamiętam, ile się natrudził zaraz na początku okupacji, aby zamaskować wejście do piwnicy. Kilka osób korzystało parę razy z naszego schowka, teraz też się nadał. Razem z Ryśkiem rozciągnęliśmy chodnik i ustawiliśmy stół z krzesłami na miejsce. Wszyscy usadowiliśmy się na łóżku rodziców w oczekiwaniu.

*

Cały dzień żołnierze kolaboracyjnych oddziałów grasowali po okolicy. My, mieszkańcy Marek, z niepokojem wyczekiwaliśmy nocy. Zmierzch niestety nie przyniósł wytchnienia. Wrzaski pijanych „słowiańskich braci”, krzyki bitych i gwałconych kobiet, potęgowały strach, jaki nas ogarnął. Siedzieliśmy po ciemku,

milcząc, przygarnięci do swego rodziciela. Szczęściem do naszego mieszkania więcej nie zaszli. Ale co nawyprawiali u innych, to żal pomyśleć. Dopiero późną nocą zapanował jako taki spokój. Za to nasilił się pogłos grzmotu armat od wschodu, dodając nam otuchy.

- Niechby się pospieszyli - powiedział ojciec, zasłaniając dokładnie okna. Zapalił lampkę karbidową i polecił nam szykować się do snu.

Niebawem przyszedł pan Orzechowski z wiadomością o odejściu napastników. Jego córki wraz z mamą wyszły z piwnicy.

- Dziękuję, że je ukryliście - powiedział. - U nas dokładnie szukali, grzebali w szafie i jak znaleźli sukienki dziewcząt, pobili mi żonę. Skłamała, że Niemcy je na roboty wywieźli.

- Może trzeba jej pomóc? - zapytała moja mama.

- Nie, już tam Kowalikowa ją opatrzyła. Leon, ale ja do ciebie w innej sprawie - powiedział sąsiad i pociągnął tatę za łokieć w kierunku rogu pokoju.

Leżeliśmy tam z bratem w naszym łóżku.

- Ogłoszono pogotowie bojowe. Porucznik „Zbyszek” zarządził zbiórkę plutonu, o szóstej przy cmentarzu - szeptał sąsiad.

- Rysiek - ojciec położył rękę na ramieniu mojego brata - pójdiesz do Sosnowskiego i przekażesz, że ma być tutaj o piątej trzydzieści. Bo już nadszedł czas.

- Tak, tato - powiedział najstarszy z mojego rodzeństwa, nakładając buty.

- Niemcy chyba chcą się bronić - kontynuował Orzechowski. Dzisiaj wróciło Gestapo i administracja, tak że pewno opanowali pierwsze oznaki paniki.

- To niewesoła wiadomość - stwierdził mój tata.

- Do jutra, Leon - powiedział sąsiad i uścisnęli sobie dłonie.

Ojciec usiadł na moim łóżku, spojrzał na mnie spokojnym wzrokiem, przez chwilę nic nie mówił. W poświecie, jaką dawała stojąca na stole karbidówka, widziałem jego twarz. Przygryzał końcówkę swego wypielęgnowanego wąsika. Robił tak w chwilach głębokiego zamyślenia.

- Razem z Ryśkiem będziecie pomagać w domu. Co mama powie, jest święte. W razie czego kryjcie się w piwnicy albo na strychu. I nie wałęsać mi się po komyszach. Zrozumiano?

- Tak, tato - odpowiedziałem.

Wstał i poszedł się obmyć, coś tam jeszcze sobie przygotował i wlaź pod kołdrę. Przez chwilę szeptali z mamą, ale nie słyszałem, o czym. Wrócił mój starszy brat i zanim się położył, usłyszał podobną przemowę, jaka została wypowiedziana do mnie. Może z trochę większym naciskiem na opiekowanie się nami wszystkimi i kategorycznym zakazem opuszczania rodziny bez zezwolenia. Na koniec tata dodał:

- Jutro w okolicy rozpoczną się walki i trzeba być ostrożnym.

Do tej pory przez myśl mi nie przeszło, że jest w konspiracji. Te spotkania w naszym domu i przynoszone przez nieznanomego pana pisemka były oczywiście owiane tajemnicą. Nikomu nie mogliśmy nic na ten temat mówić. Ale jakiś porucznik, pluton i te walki upewniły mnie, że chodzi o podziemne wojsko. Długo nie mogłem zasnąć. Oczyma wyobraźni widziałem swego rodzica w mundurze, szarżującego konno na niemieckich żołdaków.

*

Spałem jeszcze, gdy ojciec wyszedł z domu. Jak się obudziłem, mama nerwowo zamiatała podłogę, następnie zajęła się

przygotowaniem skromnego posiłku. Trochę czarnego chleba, kawałek sera i ugotowane na twardo jajka. To był rarytas. Chwilę potem, jak tylko zdążyliśmy zjeść śniadanie, w oknie od strony dREWUTNI pojawiła się ryża głowa Bernarda Sosnowskiego. Był starszy ode mnie, ale kolegował się zarówno ze mną, jak i z Ryśkiem, którego mama zdążyła przed momentem posłać do ogródka po warzywa.

- Chodź w trymiga - odezwał się piegowaty rudzielec, mrużąc znacząco swe zielonkawe oczy.

Wybiegłem na podwórze, a kolega pociągnął mnie za sobą.

- Sowiesi przyszedli - oznajmił z dumą wszechwiedzącego.

- Gdzie?

- Dwa czołgi przyjechały. Obejrzymy?

- Głupie pytanie, Benek. A gdzie one?

- Za mną! - powiedział władczo.

Żwawo oddaliliśmy się od naszych domów. Biegając opłotkami, kierowaliśmy się na wschód. Z każdym krokiem byłem coraz bardziej podekscytowany. O rany, przed Ryśkiem zobaczę bolszewików. Ale mu mina zrzędnie, jak się dowie - myślałem.

Dość szybko dotarliśmy do drogi na Białystok. Szosa tego dnia była niemal pusta. Czasem przemknął na pełnym gazie samochód niemieckiej armii. Gналиśmy przed siebie wzdłuż przydrożnych krzaków. Nie zauważyłem wystającego korzenia, moje spotkanie z ziemią było bolesne.

- Haa haa... - zarechotał wredny rudzielec. - Ty to jednak pierdoła jesteś.

- A pizdnąć cię w oko?! - wysyczałem, wściekły na siebie. Siedziałem na ziemi, trzymając się za bolące kolano.

- Wstawaj, nie ma czasu na mazgajstwo - powiedział, szczerząc zęby.

Poderwałem się z ziemi. Byłem pod olchą i rąbnąłem głową w gałąź, aż mi pociemniało w oczach.

Bernard znów parsknął, wydając z siebie dziwne gulgoty.

- A zaduś się, zaduś - wymamrotałem, pocierając dłonią obolałą głowę. Wreszcie sam też zacząłem się śmiać.

- Żeby tylko twój pech na mnie nie przelazł - wystękał.

- Dla wrednego rudzielca to byłoby już za wiele - orzekłem, szczerząc się od ucha do ucha.

- Chodźmy już, bo jeszcze odjadą.

- A może ich tam nie ma i robisz mnie w trąbę?

- Jak babcię kocham, że przyjechali - poważnie zapewniał Benek.

W dobrych humorach doszliśmy do mieszanego młodnika. Wśród gęsto rosnących brzoź i sosen obok skrzyżowania stały dwa stalowe zielone potwory z namalowanymi czerwonymi gwiazdkami.

Czołgi przybrano gałęziami drzewek tak sprytnie, że zlewały się z otoczeniem. Podeszliśmy do czerwonoarmistów. Ci, zrazu nieufni, po chwili przywołali nas do siebie. Wśród czołgistów było kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach z karabinami i biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Zawiedziony brakiem mundurów u naszych, z większym podziwem przyglądałem się sowieckim pancerniakom.

- A wy co tu robicie?! - opryskliwie zwrócił się do nas facet w furażerze z orłem w koronie. Groźny wyraz malujący się na pociągłej twarzy, odebrał mi mowę.

- Panie sierżancie, spokojnie, to swojskie chłopaki - odezwał się znajomy głos zza moich pleców.

Odwróciłem się i niemal mnie zamurowało. Za mną stał żołnierz w niemieckiej bluzie ochronnej. Szybko rozpoznałem

w nim jednak mężczyznę, u którego wypasałem krowy. Oczy mu lśniły, a siatka drobnych zmarszczek na skroniach świadczyła o dobrym humorze.

- Dzień dobry, panie Bolesławie.

- Nie Bolesławie, tylko panie podchorąży „Orda” - powiedział, opierając kolbę erkaemu o ziemię. - Gdzie wasi ojcowie?

- Mieli zbiórkę przy cmentarzu - odpowiedział Bernard.

- No tak, tam zbierał się pluton OW PPS. Chłopcy, włączcie na czołg, Ruskie wam go pokażą - stwierdził podchorąży.

Obydwaj wskoczyliśmy na pancerz najbliższego pojazdu. Z wjazdu na wieży wysunął się młody chłopak. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest niewiele starszy ode mnie. Wyszczерzył zęby i poklepał obłą kopułę.

- Ten tank to T 34 - poinformował. - Fryce boją się nas jak ognia.

- Pod Kurskiem pogoniliście niemieckie Tygrysy - przypomniał zachwycony Benek.

- I przed zimą zapędzimy do samego Berlina - oświadczył pewny siebie tankista, stając obok nas. Odrobinę był ode mnie wyższy. Tupiąc nogą, oznajmił: - Pod nami serce czołgu - silnik.

Pomiędzy wozami pancernymi stał opryskliwy podoficer w furazerce ze staniem w dłoni i rozmawiał z dwoma krasnoarmiejcami. Mimowolnie przysłuchiwałem się jego słowom.

- Jestem starszy sierżant „Sosna”, dowodzę plutonem Armii Krajowej. Nasze oddziały rozpoczęły dziś rano walkę z niemieckim garnizonem - mówił. - W Pustelniku stoczyliśmy ciężki bój, zajmując magazyny. Zdobyliśmy żywność, broń, amunicję i wzięliśmy jeńców. Teraz zaryglujemy szosę i będziemy was ubezpieczać. - Omawiając sytuację, wskazywał kolejne punkty na mapie.

- Dzięki, towarzysze - odezwał się Rosjanin w zielonym mundurze i w skórzanej pilotce na głowie. - Chorąży Czujkow, dowodzę rozwiędką czołgów. Nasz trzeci korpus pancerny niebawem nadciągnie z rejonu Wołomina.

- Lada moment nadejdzie mój komendant z resztą kompanii, mysz się tędy nie przecisnie - orzekł „Sosna”.

- Panie sierżancie - meldował przybyły na rowerze łącznik - od Legionowa zbliża się kolumna kilku samochodów ciężarowych. Porucznik „Alf” zaczął się na nich przy drodze. O tam! - Rowerzysta wskazał ręką.

- Dzieciaki z czołgów - rozkazał podoficer - drużyny na stanowiska - poleciał swoim podkomendnym. - My ich oskrzydlimy i wystawimy pod lufy waszych dział - powiedział do czerwonoarmisty.

- Tak toćna - odparł Czujkow.

Ja i Bernard usadowiliśmy się na niewielkim, gęsto zakrzaczonym wzniesieniu. Leżeliśmy pod osłoną kilku krzewów jałowca, mając dobry widok na przebiegającą w pobliżu jezdnię. Stopniowo narastał pogłos pracujących silników i naszym oczom ukazał się sznur nadjeżdżających pojazdów. Na czele jechał samochód pancerny. Nagle padły serie i pojedyncze strzały karabinowe, następnie pośród niemieckiej kolumny eksplodowały granaty ręczne. Niemcy, początkowo zaskoczeni celnym ostrzałem, po chwili odpowiedzieli silnym ogniem. Nad głową ze świstem przelatowały nam kule. Przywarłem do trawy. Na lewo ujadał zawzięcie kaem podchorążego „Ordy”. Wreszcie huknęły sowieckie tanki. Na niemieckiej pancerce błysnął ogień i po chwili ze środka wydobył się warkocz ciemnego dymu. W kabinie jadącej za nią ciężarówka nastąpił wybuch. Zaroiło się od niemieckich żołnierzy, serie siekły pomiędzy nimi, przewracając

wielu na ziemię. A dobrze im tak - niesamowita zawziętość pomieszana z radością przepełniały mnie w tej chwili. Nagle jedno z aut w środku kolumny rozerwało na strzępy. Hałas przy tym był tak silny, że przestałem słyszeć. O Jezus, ogłuchłem! - pomyślałem przerażony. Jednocześnie poczułem na twarzy gorący powiew wybuchu. Zafalowały krzaki, w których się kryliśmy.

Benek mówił coś do mnie, ale nic nie zrozumiałem, oczyma powiodłem za jego wyciągniętą ręką. Akowcy wyskoczyli do ataku; różnorodnie ubrani, odznaczali się jednak wszyscy narodową barwą na ramieniu. Wpadli na szkopów z impetem godnym husarii, część samochodów próbowała uciec z zasadzki. Sowieckie czołgi zmieniły pozycję i ostrzeliwały wycofujących się Niemców, zapalając kolejne ciężarówki. Podekscytowany widokiem, po dobrej chwili zorientowałem się, że wraca mi słuch. Dzięki Bogu bębunki nie pękły - pomyślałem. Walka przybierała na sile, a eksplozje niosło leśne echo. Polskie i niemieckie okrzyki przeplatały się z jękami rannych i jazgotem broni maszynowej. Zobaczyłem, jak żołnierze AK wzięli do niewoli szwabskiego oficera, wówczas reszta Niemców zaczęła się poddawać. Odkładali broń i unosząc ręce do góry, krzyczeli:

- Nicht schissenn!

- Ale nasi dali im łupnia - stwierdził Benek.

- Mów głośniej, bo mi w uszach dzwoni - odezwałem się po chwili.

- Gębę trzeba było otworzyć, to by cię nie przygłuszyło - krzychał. - Nie wiedziałeś?

Gdy tylko ustała strzelanina, zbiegliśmy z pagórka przyjrzeć się z bliska zwycięstwu. Mijając trzy ogołoczone z broni trupy niemieckich żołnierzy, zatrzymaliśmy się na kilka sekund. Jeden leżał skulony na boku, trzymając się za brzuch. Drugi na plecach

z rozrzuconymi rękoma, z jego twarzy wyzierało zaskoczenie. Miał otwarte oczy. Zmartwiałem, oczekując, aż mrugnie powiekami. Benek trącił mnie łokciem.

- Nakosili ich co niemiara - mówił uradowany. - Patrz, ten prosto w serce dostał.

Spojrzałem na trzeciego zabitego. Usta miał wykrzywione grymasem cierpienia. Prawą ręką ścisnął mundur na klatce piersiowej. Wokół pięści wykwitła wielka szkarłatna plama świeżej krwi. Tak wygląda śmierć - pomyślałem, a przez ciało przebiegł mi zimny dreszcz. Benek pociągnął mnie za rękaw i pognaliśmy w kierunku tego, co zostało z niemieckiej kawalkady. Tu polscy konspiratorzy penetrowali ciężarówkę, wyciągając z nich zdobycz.

Spieszyli się, bo niestety w wyniku eksplozji niektóre auta stanęły w płomieniach. Bliskość samochodów zagrażała rozniesieniem pożaru. Powiał silny wiatr i pomarańczowe jęzory dosięgły zwisających suchych na wiór gałęzi sosen.

- Gasić, cholera, szpadle, koce! - krzyczał postawny mężczyzna w polskim mundurze i rogatywce na głowie.

- Rozkaz, panie poruczniku! - odpowiedział sierżant „Sosna”.

Obydwaj rzuciliśmy się do pracy. Ogień bardzo szybko się rozprzestrzeniał, rozdmuchiwany pełgał w głąb lasu. Przy pomocy ułamanej gałęzi usiłowałem uratować buzującą sosenkę, która strzelała iskrami naokoło. Z zawziętością zadeptywałem dymiące poszycie, nie na wiele to się jednak zdało. Na szczęście z pobliskiej wioski dowieziono łopaty. Jeden z kierujących akcją przeciwpożarową polecił nam biec do furmanki. Natychmiast tak zrobiliśmy. Woźnica rozdawał narzędzia, a porucznik „Alf” wyznaczał poszczególnym grupkom mężczyzn najbardziej zagrożone pożogą odcinki.

- Od tych wybuchów kilka chałup w Strudze się zapaliło - opowiadał furman, wręczając Benkowi siekierę. - Ludziska gaszą na potęgę.

- My też zgasimy - oznajmił Benek.

Złapałem szpadel i w kilku pognaliśmy we wskazanym kierunku. Mężczyźni uzbrojeni w siekiery wycinali drzewka, a my zasypywaliśmy ziemią płonące leśne runo. Następnie zaczęliśmy rozgarniać szeroki pas w ściółce. Ramię w ramię walczyliśmy z żywiołem przez dwie godziny, aż w końcu udało nam się powstrzymać jego postępy. Następnie ruszyliśmy lasem w stronę drogi, zaduszając piachem napotkane dogasające zarzewia. Wtedy usłyszałem turkot pędzącej szosą furmanki. Chłop zeskoczył z niej w jeździe, wołając:

- Do porucznika „Alfa”!

- Tu! - odpowiedział dowódca, obciągając mundur.

- Panie poruczniku, Niemcy w Rościszewie i Pustelniku rewidują domy i zabierają mężczyzn.

- Rozkaz dla podporucznika „Wiktora”: wysłać silny oddział z 737 Plutonu i OW PPS, rozpoznać i spędzić przeciwnika - wydał polecenie łącznikowi.

Traf chciał, że jego wzrok powędrował na mnie i Bernarda, rozpalonych od zaangażowania w pracę i pobudzonych popiołem.

- No, panom na dziś dziękujemy, starczy wam tej wojaczki. Matki tam w domu pewno od zmysłów odchodzą. - To powiedziawszy, oficer zdjął rogatywkę i prawą ręką roztarł pot na wysokim czole.

- Tak jest, panie poruczniku! - wyrecytowaliśmy obydwaj, stając w pozycji zasadniczej.

- No już, zmykajcie, tylko ostrożnie mi tam po drodze i prosto do domów - mówiąc to, patrzył mi uważnie w oczy. - Żeby się

nie dowiedział o żadnym wałęsaniu – dodał poważnie.

Popędziliśmy lasem w kierunku Marek, paplając po drodze o przeżytym boju. Obydwaj byliśmy pod wielkim wrażeniem tej walki. Po przebyciu trzech kilometrów zauważyłem u kolegi oznaki nerwowości. Już dawno dostrzegłem, że w takich chwilach wprost niemiłosiernie drapał się po swej ognistej czuprynie, a tak było teraz.

- Ale czasu minęło, matka zada mi bobu – powiedział wreszcie Benek.

- Moja też mi nagada, tym bardziej że ojciec kazał pomagać w opiece nad rodzeństwem.

- Przy twoim pechu, Bronek, to ja ci normalnie współczuję.

Najgorsze w tym było to, że miał trochę racji. Często jak z chłopakami przeprowadziliśmy jakąś „akcję”, to wszystkim się upiekło, a ja dostawałem wciiry. Tak na przykład było z kurami. Otóż otwieraliśmy zagródki, aby ptaki się wymieszały. Niestety właściciele nie dostrzegli w tym działaniu wspaniałego pomysłu mającego spowodować wzrost produkcji jajek. Za to donieśli memu ojcu, iż o mało z mojej winy nie ponieśli strat w drobiu. Tata nie był zainteresowany celem doświadczenia, jego interesowało tylko, abym sąsiadom „w szkodę nie wchodził”.

Teraz więc, czym bliżej byłem domu, mój niepokój wzrastał. Jak zareaguje mama? Odgłosy bitwy na pewno słyszała, a mnie nie ma. No, raz kozie śmierć – pomyślałem, idąc z duszą na ramieniu. Uproszę, żeby się nie gniewała. W końcu jej przejdzie... Gorzej będzie z ojcem... jak się dowie... – odgoniłem tę myśl. Wziąłem kilka głębszych oddechów. Przecież wracam, to najważniejsze. Niech się cieszą – wypiąłem pierś do przodu, przybierając bohaterską postawę, i kroczyłem zwawiej. Gdy jednak ujrzałem budynki z czerwonej cegły, nogi jakby zmiękły mi

w kolanach, a poczucie winy wzięło górę nad pewnością siebie.

- No, trzymaj się stary - rzekł Benek, klepiąc mnie w ramię.

Wchodząc do mieszkania, spodziewałem się wyrzutów. Gdy jednak tylko znalazłem się w środku i spotkałem wzrok matki, w jej oczach ujrzałem ulgę, jak najodleglejszą od gniewu. Mama bez słowa przygarnęła mnie do siebie i ucałowała w głowę.

Uff... - ulżyło mi. Nie jest źle!

- Rysiu, nanoś wody dla Dzidka do umycia - powiedziała.

Brat spojrział na mnie surowo i poszedł z wiadrem do studni.

- Głodnyś, synku? - zapytała. - Już ci krupniku naleję.

Rozejrzałem się po domu. Lidka siedziała na łóżku, jej ciemne warkoczyki zwisające na ramionach podrygiwały w rytm śmiechu.

- Dzidek, czarny jesteś jak Murzyn i śmierdzisz - oznajmiła.

Wiesiek stanął na wprost i wpatrywał się we mnie z wyrzutem, wykrzywiając twarz tak, by przybrała - w jego mniemaniu - groźny wyraz. Pomarszczone czoło i wąskie szparki oczu niemal wywołały u mnie wybuch śmiechu. Z trudem się powstrzymałem, wiedząc, że ma trochę racji.

- Tata kazał ci siedzieć w domu, mamie miałeś pomagać - wycedził przez zęby.

- Wszystko, co trzeba, zrobię teraz - odburknąłem. - A was w domu trzech facetów zostało, to co, za mało?

Odwróciłem się, zdejmując pobrudzone ubranie. W międzyczasie wrócił Rysiek z wodą. Wziąłem od niego wiadro, napełniając miskę, a mama podeszła z czajnikiem i dołała wrzątku. Umyłem się i ubrałem w czystą odzież. Usiadłem do stołu i z przyjemnością zjadłem zupę.

- Rysiek, idź z Dzidkiem po kilka szczapek - poleciła mama.

Poszliśmy we dwóch do szopy narąbać drzewa. Szybko się za to zabraliśmy. Brat w ogóle się do mnie nie odzywał. Wyglądał na

obrażonego.

Jak powiem, że siedziałem na czołgu, to go skręci – trochę złośliwie zaśmiałem się w duchu. Postanowiłem jednak jakoś przełamać lody.

- Rysiek, pamiętasz, jak nam ojciec wlał za rozrąbanie taboretu? To z osiem albo dziesięć lat temu – zagałem rozmowę.

- Czemu tak żałował tego stołka?

- Głupiś! On nas sprął, bo siekierę wzięliśmy. – W jego błękitnych oczach zobaczyłem złośliwą satysfakcję. – Teraz tobie też tylek skroi, jak mu powiem, że się szwendasz Bóg wie gdzie.

- To może nie mów? – zapytałem, przerywając rąbanie.

- Straszna strzelanina była pod Strugą – powiedział od niechcienia, łypiąc na mnie.

- No, nasi razem z Ruskimi szkopów nastrzelali co niemiara.

- Byłeś tam? – błyskawicznie zapytał.

- No. Mówię ci, ale tam siekli, a potem Sowieci łupnęli z czołgów, jak to się porozrywało, to las i chałupy zapaliło. Razem z Benkiem pomagaliśmy gasić i...

Rysiek nastroszył się, wyraźnie mi zazdrościł.

- No co?

- Zabraniam ci łązić gdziekolwiek z Benkiem! – powiedział władczy tonem, wyrywając mi siekierę z ręki.

- A gównu mi możesz zabronić!

- A właśnie, że mogę! Teraz ja jestem najstarszym facetem w domu i masz się słuchać! – Tak był poirytowany, że kropelki śliny tryskały przy wypowiedzianych słowach.

- A ja mam rozkaz porucznika „Alfa” – skłamałem.

W brata jakby piorun strzelił.

- Jaki rozkaz?!

- To tajemnica, nie mogę powiedzieć.

Znowu zamilkliśmy. Zająłem się układaniem polanek w koszu wiklinowym. Rysiek rąbał wściekle drzewo.

Przed wyjściem z drewnutni spojrzałem na bekę z zacierem.

- Teraz, jak ojciec jest w wojsku, to Kowalik sam będzie musiał gotować samogon - stwierdziłem.

- Tata mówił mi rano, że mamy pomagać - powiedział smutno. Ale zaraz w głowie rozbłysła mu myśl. - Pewnie będzie na tobie sprawdzał moc bimbru, to mi wszystko wypaplesz - zaśmiał się.

Na samo wspomnienie testowania produkcji wstrząsnął mną dreszcz. Znowu się potem porzygam, brr...

Porąbane drewnienka zanieśliśmy mamie. Kazała mi zająć się Staśkiem, więc rad nierad, musiałem wypełnić polecenie. Mój młodszy braciszek był ruchliwy jak diabli, więc miałem z nim urwanie głowy. Postanowiłem zmęczyć go w zabawie, jednak czym więcej mijało czasu, tym ja czułem się coraz bardziej utrudzony. Wreszcie przyszła pora i na niego, zaraz po kolacji zasnął natychmiast.

Zamierzałem się położyć, ale wieczorem zaszedł do nas Bernard z panem Jasińskim. Przynieśli bochenek chleba. Jasiński miał na twarzy świeże ślady pobicia - pamiątka od „braci” Ukraińców, gdy stanął w obronie córki.

- Pani Stefanio, to dla was - mówiąc, wręczył chleb.

- Tata dostał przepustkę i kazał przekazać, że u waszego męża wszystko w porządku - powiedział Bernard, stojąc. Widać było, że nie chce siadać.

- Benek, co ci się stało? - zapytałem.

- No co, w skórę dostałem od ojca. Ale warto było.

Przez myśl przeszło mi, że może lepiej, aby taty nie puścili z tego wojska do domu.

- Nasi dzisiaj szwabom krwi napsuli, najpierw w Pustrelniku II szkołę zdobyli, a potem duży konwój wspólnie z sowieckimi czołgami rozbili - mówił Jasiński.

Na te słowa Rysiek spojrzał na mnie spode łba.

- Żeby tych Ruskich przyszło już więcej - powiedziała matka.
- Bo to jeszcze jakieś nieszczęście Niemcy nam zgotują.

- Teraz to oni nie będą już tacy wyrywni. Dzisiaj szwabcy z zemsty wyciągali chłopów z domów w Rościszewie i Pustelniku. Jak się nasi dowiedzieli, to uderzyli i nabili ich, i nabrali do niewoli. Mówił Sosnowski, że to z Dywizji Hermann Goering byli.

- Panie Jasiński, a po co Niemcy mężczyzn brali? - zapytał Rysiek.

- Jeńcy zeznali, że wozili ich esesmanom pod Zielonkę. Tam ich rozstrzeliwano.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - przeżegnała się moja mama. - I o tym mówię, panie Jasiński, żeby oni nam jeszcze Golgoty nie zgotowali.

- Trzeba być dobrej myśli - powiedział bez przekonania. Po chwili milczenia dodał zdecydowanym tonem: - Wierzę, że to już koniec naszej gehenny. Dobranoc, pani Stefanio, dobranoc.

Młody Sosnowski, wychodząc, szepnął mi na ucho:

- Jutro po śniadaniu przy kładce na Długiej.

*

Rano przyniosłem wody, zjadłem śniadanie i zniknąłem z domu. Udało mi się, pomimo tego, że matka starała się mieć mnie na oku. Dobrze, że Ryśka wysłała do Kowalika. Brat na pewno nie pozwoliłby mi się ruszyć na krok.

Przy kładce czekał już Benek.

- A ty się nie boisz, że ci ojciec znowu wleje? - zapytałem.

- A bo to będzie ostatni raz? A wojna się zaraz skończy i człowiek nawet nie napatrzy się, jak szkopy w dupę dostają.

Popędziliśmy do szosy, na miejscu zalegliśmy w krzakach, nasłuchując odgłosów niedalekiej strzelaniny i trochę dalszej wymiany ognia artyleryjskiego.

- Skaczemy - oznajmił nagle Benek, podrywając się z ziemi.

Nie namyślając się, poszedłem w jego ślady. Na chwilę zatrzymaliśmy się w lesie po drugiej stronie drogi.

- Idziemy do Strugi, na pewno w pobliżu wsi są żołnierze - powiedziałem.

- No przecież wiem - odezwał się Bernard. - Pobawimy się w wojsko? - zapytał.

- Jasne. - Rozejrzałem się za jakimś patykiem, wypatrzyłem sobie broń. Odłamałem kawałek. - Mam automat, jak sierżant „Sosna” - stwierdziłem z dumą.

- A ja erkaem, jak podchorąży „Orda” - powiedział Benek, unosząc z ziemi dość duży kij.

Pozazdrościłem pomysłu, ale po chwili wydałem rozkaz:

- Naprzód, przed nami wróg. Musimy ich podejść.

Skradaliśmy się powoli, uważając, by nie narobić hałasu. Kiedy drzewa rzedyły, pokonywaliśmy odcinek na czworakach. W pewnym momencie zauważyłem mężczyznę wypinającego goły tyłek.

- Srać się bliźniemu zachciało - szepnął mi do ucha Benek. - Nie będziemy naszemu wojsku przeszkadzać - mówił cichutko, chichocząc.

Człowiek w bluzie upstrzonej różnokolorowymi plamkami wstał, naciągnął spodnie, rozejrzał się uważnie. Podniósł z ziemi schmeissera i ruszył przed siebie, delikatnie stąpając. Na głowie

miął niemiecki hełm obciążony siatką, w którą powplataną były liście paproci.

Spojrzeliliśmy na siebie.

- To szwab był - wyszeptalem podekscytowany. - Chodź, podejmiemy za nim cichaczem.

Bardzo powoli i ostrożnie przeczołgaliśmy się w gęste chaszczki. Naszym oczom ukazały się dwa czołgi. Ale te nie były sowieckie. Żołnierze też inaczej wyglądali, umundurowani w stroje maskujące, gdy leżeli, prawie nie byli widoczni. Dyskretnie zaczęliśmy się cofać, następnie zatoczyliśmy duże koło. Trochę czasu minęło, zanim dotarliśmy do polskich pozycji.

- Do porucznika „Alfa”, pilny meldunek - mówił Bernard wartownikowi.

Żołnierz słuchający tej przemowy patrzył na nas z politowaniem. Uśmiechnął się i wskazując miejsce, powiedział:

- Tam jest.

Podbiegliśmy do znanego sobie oficera i jeden przez drugiego zaczęliśmy opowieść.

- Spokój! - porucznik „Alf” wstrzymał potok słów wylewający się z naszych ust. - Ty mów - wskazał na mnie.

- Panie poruczniku, obok drogi między Strugą a Rościszewem kryją się dwa szwabskie czołgi - zameldowałem.

- „Żubr” - porucznik zwrócił się do stojącego obok akowca - zawiadom krasnoarmiejców, że na nasz sygnał mają wyjechać na drogę i zlikwidować niemieckie czołgi.

- Rozkaz! - powiedział mężczyzna. Zarzucił karabin na plecy i pobiegł w kierunku pobliskiej plebani.

- Goniec do dowódcy 738 Plutonu.

- Na rozkaz, panie poruczniku - powiedział, prężąc się jak struna, młody żołnierz.

- Niech sierżant „Sosna” wyśle silny patrol w tamtym kierunku - wskazał dowódca. - Ostrzelać załogi nieprzyjacielskiej broni pancernej we współdziałaniu z Sowietami.

- Tak jest! - młodzieniec trzasnął obcasami.

- A wy dokąd się wybieracie? - zapytał oficer, odwracając się do nas.

- No, miejsce pokazać, gdzie te szwaby się chowają - powiedział Bernard.

- Moi żołnierze sobie poradzą. Kapralu - zwrócił się do podwładnego - dajcie dzieciakom coś zjeść.

Chcąc nie chcąc, musieliśmy zostać. Brodaty podoficer zabrał nas ze sobą. Doszliśmy do wozu taborowego ukrytego w lesie. Mężczyzna pogrzebał w worku i wręczył nam jedzenie.

Siedzieliśmy, zajadając ze smakiem kawałki kiełbasy i zagryzając białym chlebem, gdy z kierunku przebywania Niemców dobiegła gwałtowna strzelanina. To atakowali żołnierze starszego sierżanta „Sosny”. Po chwili usłyszeliśmy sowieckie czołgi wyjeżdżające spoza ogrodzenia kościelnego. Dwa wystrzały i dwie eksplozje zakończyły żywot hitlerowskich wozów pancernych. Chcieliśmy iść popatrzeć, ale nasz opiekun kazał nam siedzieć na dupie.

Nagle okolicę skrzyżowania szos wraz ze wzgórzem Świętego Antoniego ostrzelały niemieckie armaty. Pociski rozrywały się, powalając drzewa, siekąc odłamkami i wielkimi drzazgami oderwanymi od sosen i dębów. Klapnęliśmy z Benkiem na ziemię. Zatkaną uszy i rozdziawiłem usta. Niedaleko nas łupnęło coś ciężkiego, wyrywając ku niebu glebę; po chwili to samo z prawej strony. Zatrzęsło się pode mną i grudki ziemi obsypały mi plecy. W ustach miałem pełno piachu i igliwia. To był mój pierwszy raz pod ogniem dział. Dziwnym trafem nie czułem lęku. Leżałem

w zagłębieniu i jedyne, o czym myślałem, to o tym, aby tych ruskich tanków nie trafiło.

Ostrzał zakończył się równie nagle, jak się rozpoczął.

- Wymacała nas niemiecka artyleria z przedmurza stolicy - powiedział kapral. - Nic wam się nie stało?

Wypluwając ziemię z ust, otrzepałem ubranie.

- Nic, nic - mówił Benek lekko roztrzęsionym głosem. - Ale była nawała.

Sprężystym krokiem podszedł do nas porucznik „Alf”.

- Chłopcy jestem wam niezmiernie wdzięczny, jednak lepiej będzie, jak wrócicie do Marek.

- A jak tam przyjdą esesmani i wywiozą nas do lasu? - powiedziałem.

- Właśnie dlatego jesteście tam potrzebni, gdyby co, urwiecie się i dacie mi znać, a ja przyjdę ludziom z pomocą.

- Rozkaz, panie poruczniku! - odpowiedzieliśmy obydwoj, odwracając się na pięcie.

Idąc do domu, przechodziliśmy przez wzgórze Świętego Antoniego. Leżały tam poukładane obok siebie ciała kilku żołnierzy AK poległych od ognia artyleryjskiego. Zatrzymałem wzrok na znajomej, spokojnej twarzy. Coś chwyciło mnie za serce, zrobiło mi się gorąco i nie mogłem złapać oddechu. Jednym z zabitych był plutonowy podchorąży „Orda”.

Jezus, Maria... Wygląda, jakby jakiś olbrzym cisnął nim o ziemię - przeszło mi przez głowę.

- O Boże... - jęknął mój kolega i po chwili dodał: - zabili pana Bolesława.

Spojrzeliliśmy z Benkiem na siebie, teraz dopiero zrozumiałem, że też mogłem zginąć.

Stałem, nie mogąc zrobić kroku, normalnie jakbym wrósł

w ziemię. Ślina nabiegła mi do ust i nie udało się jej przełknąć przez zaciśnięte gardło. Poczułem, jak łzy spływają po moich policzkach.

- Zmykajcie stąd - powiedział spokojnie sierżant „Sosna”. - No już! Nie chcę was tu dokładać - dodał sucho.

Przez całą powrotną drogę nie zamieniliśmy słowa. Nieopodal budynku, w którym mieszkał Benek, uścisnęliśmy sobie dłonie, nadal milcząc. W oczach kolegi ujrzałem żal, niedowierzenie i złość. Dokładnie to samo odczuwałem sam. Kiwnąłem jeszcze głową na pożegnanie i ruszyłem w swoją stronę.

Wszedłem na podwórko i już miałem odezwać się do Wieśka, gdy ten z otwartą buzią wskazał przed siebie. Mój wzrok powędrował za palcem brata. Ujrzałem ojca i Ryśka dźwigających duży worek.

- Do domu chłopcy, do domu - powiedział tata.

Weszliśmy do środka, witając się z mamą.

- Dostałem przepustkę. Przyniosłem chleba i kawał świniaka. Wszystko z niemieckich magazynów, cośmy je wczoraj zdobyli. - Ucałował garnącego się na ręce dwulatka i ze Staszkiem w dłoniach odezwał się do mamy: - Chleb rozdaj sąsiadom.

- Cały jesteś? - zapytała.

- Cały, cały. Bronek, gdzie ty się szwendasz? - Popatrzył na mnie groźnie. - Chłopaki od „Sosny” mówili, że cię widzieli przy ruskich czołgach.

Mimochodem spojrzałem na kozią nóżkę zakończoną kilkoma rzemykami, wiszącą na ścianie. Dyscyplina pójdzie w ruch - pomyślałem. Na wspomnienie ostatniego lania zrobiło mi się gorąco.

- Tato... - Już miałem się tłumaczyć, gdy w progu stanął pan Jasiński.

- Jesteś, Leon, jak tam nasz PPS-owy pluton? - zapytał.
- Dajemy radę, chociaż dzisiaj rano mieliśmy ciężki bój.
- Opowiadaj!

- Wraz z kompanią porucznika „Alfa” atakowaliśmy silny oddział Dywizji Pancerno-Spadochronowej. Nie udało nam się ich rozbić i ponieśliśmy straty. Ale oni teraz boją się wyściubić nosa ze swojej bazy.

- Bolszewicy mogliby się pospieszyć, do cholery! - powiedział sąsiad.

Nagle od ulicy usłyszeliśmy jakieś hałasy, pokrzykiwania i narastający lament ludzi. Przez podwórze przebiegł nieznany mężczyzna, wołając:

- Niemcy wygarniają!

Tata wręczył najmłodszego syna mamie, szybko otworzył piwnicę i zepchnął tam przyniesiony worek. Z kieszeni wyciągnął rewolwer, biało-czerwoną opaskę i też je tam wrzucił, a następnie zamknął pokrywę. Na podwórku pojawili się niemieccy żołnierze.

- Raus! Wszyscy wyłazić! Schnell!

- Bierz Lidkę - powiedziała mama, sama wychodząc ze Staśkiem na rękę.

Niemcy wyrzucili nas na zewnątrz. Nie przeszukiwali mieszkania, od razu pogonili całą naszą rodzinę do głównej ulicy. Ze wszystkich okolicznych domów wyciągano mieszkańców. Natychmiast ten dziwaczny pochód, popędzany okrzykami i szturchańcami, ruszył przed siebie.

- Boże, co z nami zrobią? - powiedziała matka.

- Chłopcy, jak się nadarzy okazja, to wiać - szepnął ojciec.

Strumień ludzi falował powolnym marszem w nieznaną. Szliśmy w ścisiku, noga za nogą przy akompaniamencie niemieckich ponagleń. Pokonaliśmy może kilometr, kiedy ktoś

krzyknął łamaną polszczyzną:

- Ludzie, uciekajcie, pędzą was do obozu koncentracyjnego.

W zbitą gromadę jakby piorun strzelił, taki nagle zrobił się tumult i zamieszanie. Kolumna rozprysła się na wszystkie strony. Każdy uciekał przed siebie. Padło kilka strzałów, ale nie zatrzymały spanikowanego tłumu. Naraz zorientowałem się, że przy mnie nie ma moich bliskich. Przestraszyłem się nie na żarty. Pognałem na wprost. Nie wiedząc czemu, skręciłem w kierunku rzeczki, dobiegłem do kładki, przy której spotkałem się rano z Benkiem. Przeszedłem na drugą stronę, myśląc o tym, że na szczęście tylko wiosenne powodzie zmywają tę co roku odbudowywaną „przeprawę”. Biegłem dalej w kierunku szosy. Myśl, jaka mi zaświtała, to aby zawiadomić porucznika. Wyskoczyłem na jezdnię i zdębiałem. A to pech! Na wprost mnie stał w rozkroku niemiecki żandarm. Wzrok utkwilem w zawieszanej na szyi Niemca blasze. Ten złapał mnie za kołnierz i kopniakiem popchnął w kierunku ciężarówki. Oczom moim ukazała się wypchana ludźmi buda, taka, jakie widziałem w Warszawie po łapankach. Zesztywniałem ze strachu. Ktoś ze środka podał mi rękę, a ktoś inny brutalnie wepchnął mnie na górę. Zobaczyłem tu kilka znanych z widzenia twarzy. Głębiej zauważyłem też stojącego tam Bernarda Sosnowskiego.

Paka była już pełna. Do środka wlało dwóch Niemców uzbrojonych w automaty. Jeden z nich gestem pokazał, że będzie strzelał do każdego, kto spróbuje skoku. Silnik został uruchomiony i ruszyliśmy. Po chwili dołączyła do nas kolejna i jeszcze jedna ciężarówka; jechaliśmy w kierunku Warszawy. Takiego uczucia lęku o życie nie odczuwałem chyba jeszcze nigdy. Strach całkowicie mną zawładnął, w brzuchu czułem ciężar, nogi mi się trzęsły i cały byłem mokry od potu. W pewnym

momencie poczułem rękę na ramieniu, podniosłem wzrok i ujrzałem spokojną twarz jakiegoś staruszka. Mężczyzna uśmiechnął się smutno i zaczął śpiewać *Bogurodnicę*. Współwięźniowie podchwycili pieśń. Strażnicy nie reagowali, jedynie nerwowo się rozglądali.

Wtem auta zatrzymały się, Niemcy zeskokczyli i otworzyli skrzynie, okrzykami ponaglając ludzi do schodzenia. Znowu zamieszanie i przepędzanie. Staralem się trzymać znajomych, ale naciskany przez tłum potknąłem się i przewróciłem. Chciałem natychmiast stanąć na nogach, to mi się jednak nie udało. Przeraziła mnie myśl, że ludzie wgniotą mnie w ziemię. Szturchańce i kopniaki odbierały mi oddech i nadzieję. Wreszcie ktoś pomógł mi wstać i tylko dzięki temu nie zostałem zdeptany. Zobaczyłem, że szkopy zaganiają nas do wagonów bydłowych. Czereda dorosłych osób zasłoniła mi widok. Zadarłem w górę głowę i ujrzałem błękitne niebo z kilkoma białawo-szarymi obłokami. Jeden z nich przyciągnął moją uwagę; ze zdziwieniem zaobserwowałem podobieństwo do skądś mi znanej kobiecej postaci. Raptem oberwałem po plecach pałą, aż mi zabrakło tchu. Wybity - i to brutalnie dosłownie - z obserwacji nieba zostałem wepchnięty do wagonu. Wokół siebie nie widziałem teraz żadnej znajomej twarzy. Zrobiło się tam bardzo ciasno i z każdą dopychaną grupką ludzi ścisk jeszcze się zwiększał. Wreszcie drzwi zostały z hurgotem zatrzaśnięte. Wewnątrz zrobiło się ciemno, dwa małe okienka w przeciwległych rogach wagonu wpuszczały niewiele światła. W środku zapanowała grobowa cisza, którą przerwał ponury męski głos:

- Jesteśmy na Dworcu Wschodnim.

Natychmiast w pamięci zarysował mi się obraz peronów i magazynów towarowych. Ostatnim razem byłem tutaj z moją

nauczycielką i kilkoma osobami z klasy. Przyjechaliśmy odebrać dary dla naszej szkoły; wtedy wybrałem sobie, za zgodą miłej pani z Caritasu, porządne skórzane trzewiki. Miałem je teraz na nogach. Pomyślałem, że je sobie obejrzę, ale nie dało rady dostrzec podłogi. Stałem pośród dorosłych osób, starych i takich w średnim wieku, jak mi się wydawało. Nie można było usiąść ani się przekręcić, tak byliśmy stłoczeni.

Jak śledzie w beczce nas upchali – pomyślałem.

W końcu pociąg szarpnął, stanął i z wolna ruszył. Chyba niewiele przejechał, gdy zatrzymał się znowu. W napięciu wyczekiwałem, czy będą otwierać drzwi; czy z zewnątrz nie słychać strzałów. Nic nie następowało. Jedna starsza pani zaczęła odmawiać:

- Pod twoją obronę...

Wokół mnie wiele osób zawtórowało:

- ...uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...

Głupie wydało mi się to modlenie, ale myślami powędrowałem do mojego służenia do mszy księdzu proboszczowi. Zawsze kazał tylko kropelkę wody do wina dolewać, „aby nie psuć Boskiego dzieła”. Zacząłem powtarzać wraz z resztą *Zdrowaś Mario* i *Ojczy nasz* w intencji powrotu do domu. Stopniowo coraz więcej schwytyanych osób dołączało się do modłów. Jak bardzo była ta modlitwa potrzebna, przekonałem się po chwili. Uspokoilem się, i to nie tylko ja.

Ludzie starali się opierać o siebie nawzajem. Gdzieś w głębi zapłakało dziecko. Ktoś inny zaczął postękiwać. Ze środka tej cizby odezwał się męski głos:

- Słuchajcie, ludziska, nie wiadomo, jak długo nas będą więzili. Trzeba nam się trochę przetasować, żeby dzieci i starsi mieli ciut więcej swobody.

Tłum jęknął i wiele osób miało coś do powiedzenia. Naraz zrobił się taki harmider, jak na bazarze Różyckiego. Tam też bywało ciasno, tyle ludzi przybywało pohandlować. My przywoziliśmy bimber i mięso. Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz usłyszę charakterystyczne wołania: „Pyzy, gorące pyzy!”. Aż coś ścisnęło mnie w dołku, z głodu i z tęsknoty. Ktoś z zewnątrz załomotał w drzwi wagonu. Wrzawa ucichła tak nagle, jak się zaczęła.

- Zamknąć mordy, bo puszcze serię - usłyszeliśmy.

Początkowo zeszywniałem, chyba wszyscy wokół pilnie wsłuchiwali się w odgłosy docierające z zewnątrz. Niedługo to trwało i na ile było to w tej ciasnocie możliwe, troszkę się poprzesuwaliliśmy. Młoda kobieta poinformowała, że w rogu wagonu jest dziura do załatwiania potrzeb. Zaraz znaleźli się tacy, którzy natychmiast musieli tam dotrzeć. Nie każdy zdążył ze swoją potrzebą, a byli wśród nas i ludzie całkowicie zubożeni, robiący pod siebie. Mnie oczywiście zachciało się sikać i zrazu postanowiłem dopchać się do kloacznej dziury. Nie zdążyłem jednak i mocz pociekł po nogawce moich spodni. Co za ulga, ale niestety mokro, i w dodatku naszczałem sobie do buta. Nagle rozczuliłem się nad swoim trzewikiem i ogarnął mnie przenikliwy żal tak głęboki, że o mało nie wybuchnąłem płaczem.

Znowu usłyszeliśmy łomot w drzwi.

- Hej, Polaki, wy taki kulturalny naród, a nie wiecie, że się nie sra na postoj? Czekać, aż pociąg ruszy!

Skład jednak ani drgnął, w środku panowała coraz większa duchota i smród. Pewien typek nieopodal zaczął wymiotować; kobieta stojąca obok obruszyła się na to.

- Całą sukienkę mi zarzygał! - mówiła zdenerwowana. - Jak ją ją sobie upiorę?

- Paniusiu kochana - odezwał się rezolutnie młody mężczyzna
- teraz to pasiaki są w modzie, a nie kwiatki.

To rozładowało atmosferę.

- Co nas czeka? Dokąd oni nas wiozą? - słyszałem pytania.

- Do obozu, jak Żydów - odpowiedział ktoś posępnie.

- Nie pieprz pan głupot! - wtrącił się nerwowo starszy mężczyzna. - Szwaby potrzebują rąk do pracy. Będziemy tyrać na Hitlera.

- Byle nie trafić do fabryki - usłyszałem głos młodej kobiety. - Amerykanie strasznie tam bombardują.

- A gównu mnie przy robocie niemiaszki zobaczą - stwierdził chłopak od pasiakowej mody. - Ja tam, mili państwo, przy stosownej okazji zawijam się do domu i tyle mnie w Rajchu będą widzieli.

- Panie kawalerze - wtrącił się dość gruby mężczyzna stojący tuż obok mnie. Mówienie w tym tłoku musiało mu sprawiać trudności, bo sapał przy tym głośno. - Doradzam zastanowienie. Taka, dajmy na to, ucieczka może być niebezpieczna dla pana, jak również dla wszystkich tu zgromadzonych. Dla naszego wspólnego dobra, proszę zaniechać tych planów.

- Panie, ja się nie pytam o radę. Jak tylko nadarzy się okazja, pryskam. Teraz oni przecież nawet nie wiedzą, ilu nas tu mają - odparował.

Zamyśliłem się głęboko nad tymi słowami. No przecież ten młody facet ma rację - jeśli uciekać, to jak najszybciej.

Stopniowo wygasły rozmowy. Zmęczenie, upał, brak tlenu i w jakimś stopniu lęk, to wszystko powodowało, że drzemaliśmy na stojąco. Niektórzy mdleli, ale ścisk podtrzymywał ich w pozycji pionowej. Przeciągające się w nieskończoność godziny postoju powodowały otępienie dziesiątków upchanych pasażerów. Nie

wiedziałem już, jak długo to trwało. Czułem się krańcowo wyczerpany; w końcu straciłem kontakt z rzeczywistością.

Obudziło mnie hamowanie. Półprzytomny uświadomiłem sobie, że śnił mi się obłok widziany tuż przed wepchnięciem do pociągu. Teraz byłem już pewien: postać, którą ujrzałem w chmurze, miała twarz mojej mamy. Zatroskana poruszała bezgłośnie ustami. Zacisnąłem powieki, licząc, że jeśli szybko powrócę w objęcia Morfeusza, dowiem się, co do mnie mówiła. Niestety nie wyśniłem jej sobie, chociaż udało mi się znowu zapaść w sen. Może bardziej w letarg, przerywany co chwila częściowym powrotem do terażniejszości. Zamiast odpocząć, czułem się wycieńczony, czas stanął w miejscu i w moim przeświadczeniu my również. Po kilku długich godzinach oczekiwania skład wreszcie drgnął. Jak w wierszu Tuwima: „Najpierw – powoli – jak żółw – ociężale...”. Nie tylko ja odczułem ulgę, że w końcu coś się zmieniło. Na zmęczonych twarzach otaczających mnie ludzi było wyraźnie widać podobne odprężenie.

- I co, ludziska? - odezwał się dźwięcznie ten sam młodzieniec, który niedawno mówił o ucieczce. - Jak to jest? Schwytani przez wroga, stłoczeni do granic możliwości, głodni, spragnieni, pólżywi - i niemal cieszymy się, że ruszyliśmy w nieznane. Chcą nas tak upodlić, żebyśmy radowali się z jakiegokolwiek zmiany! Dlatego mówię pa i ani myślę mieć z nimi nic wspólnego.

Tym razem nikt się nie odezwał. Starszy pan najwyraźniej nie miał zamiaru wszczynać kolejnej dyskusji. Zresztą dziwnie blady na twarzy, ledwo co oddychał.

Systematyczny turkot po pewnym czasie ponownie wzbudził we mnie senność. Pomiedzy drzemkami słyszałem różne pomysły,

gdzie to niby jesteśmy wiezieni. Ktoś powiedział, że jedziemy na południe. Inny zapewniał, że na zachód. Jakaś kobieta stojąca przy okienku stwierdziła, że zmierzamy do Prus Wschodnich. Wszystkie te domysły ukróciła rozpacz matki nad umierającym dzieckiem. Krzyczała, przeraźliwie zawodząc. Nikt jej nie uciszał, ale i nie pocieszał. Wycie stopniowo przerodziło się w skowyt, a następnie w szloch przerywany pojękiwaniem, by ostatecznie rozmyć się w rytmicznym stukocie kół. Jeszcze niedawna jedność pojmanych powodowana wspólną poniewierką gdzieś się ulotniła. Czy każdy myślał już tylko o sobie? Wstyd się przyznać, ale mnie ulżyło, gdy kobieta ucichła - znowu mogłem podjąć próbę drzemki.

Z czasem zaczęło mi doskwierać niesamowite wprost pragnienie. Chciałem oblizać swe spieczone usta, ale język miałem suchy jak kołek. Z wysiłkiem zebrałem odrobinę śliny, przełknąłem przez bolące gardło. Myśl o wodzie nie odstępowała mnie ani na chwilę, tylko skąd ją wziąć? Zobaczyłem, jak mężczyzna stojący obok sika w garść i pije z niej własny mocz. Wzdrygnąłem się na samą myśl, zwymiotowałem na siebie i kogoś stojącego przede mną. Tym razem nikt nie miał pretensji. Powoli oładnęła nami obojętność.

Ile tak spędziliśmy dni i nocy, nikt już nie wiedział. Ludzie przestali nawet przeklinać sprawców naszego nieszczęścia. Pociąg znowu stanął, a z zewnątrz dobiegały jakieś głosy. Stopniowo przybliżał się do nas zgrzyt otwierania poszczególnych wagonów oraz krzyki niemieckich strażników. Wokół zapanowało nerwowe ożywienie, które dopadło i mnie. Zerkając na boki, w oczach niektórych osób zauważyłem pewnego rodzaju podniecenie. Wreszcie przyszła kolej na nas. Drzwi rozsunęły się, a w moje nozdrza uderzył smród, jaki panował tu w środku.

Znowu zwymiotowałem. Tłum napierał i nawet nie trzeba było poganiać ludzi do wysiadania. Oczywiście Niemcy darli się i nie żalowali wyskakującym na torowisko razów. Udało mi się uchylić, mężczyzna wychodzący za mną otrzymał cios kolbą przeznaczony dla mnie. Łupnęło coś w jego ciele, a z ust wydobył się głęboki jęk:

- Uuhhh.

Jak dobrze, że mnie ominęło - pomyślałem. - Gdybym to ja dostał, to pewno bym się tam skręcił w ósemkę.

Ogarnąłem wzrokiem okolicę. Nie była to żadna stacja, ale rozjazd kolejowy. Stał tu jeszcze co najmniej jeden transport. Przegoniono nas w kierunku ludzkiej ciżby. Jacyś mężczyźni ubrani w robocze kombinezony wskoczyli do opustoszałego wagonu i zaczęli wyciągać z niego sztywne ciała. Widziałem kilka trupów, którym po ułożeniu przy pociągu przykrywano twarze workami. Korpulentny mężczyzna, wcześniej odradzający ucieczkę, został wyniesiony ze środka. Cisnęli go na ziemię jak worek kartofli. Jeszcze łypał oczyma i łapczywie nabierał powietrza ustami. Wyglądał jak karp wyjęty z sieci. Hitlerowiec pilnujący czyszczeni wagonów wyjął pistolet z kabury i strzałem w głowę dobił człowieka. Zesztywniałem z wrażenia, ale nie ze strachu. Poruszyła mnie postawa egzekutora, który zrobił to jak coś naturalnego, nie zawahał się i nawet jego twarz nie wyraziła żadnej emocji. Poczulem wściekłość; tak silnie zacisnąłem pięści, że złapał mnie skurcz. Spojrzałem na ręce, a kłykcie miałem białe. Uniosłem głowę i na twarzach ludzi stojących wokół ujrzałem bojowy wyraz.

W tym momencie niemieccy żołdacy zaczęli napierać tyralierą. Najpierw odepchnęli nas dalej od torów, a następnie złamali swój szyk, dzieląc sprawnie ludzką zbieraninę na grupy.

Natychmiast rozpoczęła się segregacja - oddzielano starych od młodych, zbijając podzielonych w mniejsze podgrupy. Zapanował rwetes i ogłuszająca wrzawa. Matki darły się, usiłując bronić dzieci, mężczyźni próbowali zostać z bliskimi. Większości się nie powiodło. Strażnicy w szarzielonych mundurach, na kołnierzykach mający naszywki SS, precyzyjnie przeprowadzili selekcję. Wyraźnie mieli w tym doświadczenie. Ja zostałem dołączony do grona niestarych osób. Patrzyłem wokół, wypatrując znajomych, ale bez rezultatu. Zauważyłem za to, że cały teren otoczony jest szpalerem esesmanów. Tam, gdzie zostałem przepchnięty, stała beka, czy cysterna, z której nalewano wody do różnych skorup. Ktoś wcisnął mi do ręki pełną puszkę. Wypiłem łączywie upragnionego płynu. Ktoś inny podał kawałek czarnego chleba. Całe to „karmienie” nie trwało długo. Nie zdążyłem przełknąć ostatniego kęsa, gdy Niemcy zaczęli zaganiać nas z powrotem do pociągu, wydało mi się, że do innego. Podłogę zaścielała tu rozrzucona skąpo słoma, i w środku zdecydowanie mniej śmierdziało. Tym razem upchnęli w wagonie mniej ludzi - teraz mogliśmy w miarę wygodnie usiąść. Rozejrzałem się po twarzach towarzyszy niedoli. Były to osoby starsze ode mnie, ale na ogół dość młodo wyglądające. Panowało wśród nich przekonanie, że jedziemy na roboty do Rzeszy.

O, niech sobie szwaby nie myślą, że będę na nich robił! - pomyślałem. - Trzeba wiać, jak się nadarzy okazja.

Dalsza podróż wyglądała podobnie: więcej staliśmy, niż jechaliśmy. Znowu straciłem rachubę czasu, choć początkowo starałem się liczyć noce. Niestety zaczęły również doskwierać inne problemy. Teraz nie dość, że czułem pragnienie, to na dodatek kiszki grały mi marsza. Znałem uczucie głodu, ale nie głodowania. Silne ssanie w żołądku z czasem przerodziło się

w ból, który przychodził falami. Kuliłem się, leżąc na podłodze, a krople potu spływały mi po twarzy. Po pewnym czasie nie ustępowałem nawet na chwilę, z konieczności zaakceptowałem jego doznawanie. Wówczas przestał być tak dojmujący. Skupiłem się na tym, aby wykonywać jak najmniej ruchów i przeszedłem w permanentne zubożenie. Siedziałem wpatrzony w ścianę, przeżuwając śmierdzące moczem źdźbło słomy, kiedy podszedł do mnie mężczyzna z zatroskanym wyrazem twarzy. Wyciągnął w moim kierunku rękę i bez słowa wręczył mi sporej wielkości piętke chleba, po czym wrócił na swoje miejsce. Byłem przez chwilę najszczęśliwszym dzieckiem na świecie. Czyżby mój pech właśnie się skończył? Wbiłem zęby w czerstwe pieczywo, odgryziony kęs żułem długo i dokładnie. Dopiero gdy zmienił się w jednolitą papkę, przełknąłem. Och, cóż to była za rozkosz. Spojrzałem na otaczające mnie twarze - zazdrość wyzierająca z oblicza siedzącej w pobliżu kobiety przywołała mnie do porządku. Najpierw chciałem zostawić sobie kawałek na później, ale skrupulatna obserwacja, jakiej poddali mnie sąsiedzi, sprawiła, iż zrozumiałem, że lepiej nie zasypiać z jedzeniem w kieszeni.

Rozejrzałem się wokół. Dzikość wyzierająca z oczu niektórych osób budziła dziwny niepokój. Czy można oszaleć z głodu? Czy ci ludzie za kromkę chleba są w stanie zrobić komuś krzywdę? Zaniepokojony wstałem, poszedłem w róg wagonu do niewielkiej dziury i tam sobie ulżyłem. Nie miałem czym podtrzeć tyłka, więc naciągnąłem spodnie. Usiadłem w innym miejscu. Kobieta mająca na głowie kwiecistą chustę przesunęła się, robiąc mi miejsce. Nie zamieniając z nią słowa, ułożyłem się wygodnie. Już nie taki głodny, postanowiłem zasnąć. Po przebudzeniu znowu popadłem w apatię. Otrząsnąłem się z niej zaraz po dźwiękach

rozsuwania drzwi wagonowych. Podjąłem decyzję.

Wszyscy zostaliśmy wygonieni na zewnątrz. Tutaj nie poddali nas selekcji. Naokoło widziałem uzbrojonych strażników, wydało mi się, że nie jest ich tak wielu jak poprzednio. Mniej więcej na środku tego przystanku buchał dym z wielkiego kotła i pachniało zupą jarzynową. Stałem w kolejce i dostałem miskę z gorącym płynem. Zjadłem, siorbiąc i pomagając sobie kawałkiem chleba. Oddałem naczynie i ruszyłem do cysterny. Piłem chłodną wodę, patrząc uważnie wokół. Stało tu kilka transportów, była to zapewne stacja rozjazdowa. Zorientowałem się, że nie jesteśmy teraz tak bardzo strzeżeni. Pilnujący nas zbili się w małe gromadki i rozmawiając ze sobą, palili papierosy. Odstawiłem kubek i ruszyłem w kierunku pociągu. Przecisnąłem się przez ludzką zbieraninę i wskoczyłem pod wagon. Przeszedłem na drugą stronę, moim oczom ukazał się kolejny eszelon. Na czworakach wszedłem pod spód. Składem szarpnęło, bo najwyraźniej doczepiano lokomotywę. Wyskoczyłem stamtąd trochę przestraszony, prosto w dość wysoką kępę trawy. Zaplątałem się w druty rozciągnięte na ziemi, ale udało mi się wyswobodzić. Czołgając się, dotarłem do krzaków. Ułożyłem się, nasłuchując. Nikt mnie nie gonił.

Postanowiłem jak najszybciej oddalić się z tego miejsca. Przed sobą zobaczyłem zagajnik i pobiegłem w tamtym kierunku. Idąc przez las, usłyszałem odgłos odjeżdżającego pociągu. Ogarnęło mnie uczucie słodkiej wolności. Położyłem się na ściółce i zapadłem w krótką drzemkę. Kiedy się przebudziłem, wiatr delikatnie szeleścił liśćmi drzewa, w koronie którego buszowało stado wróbli. Promienie słońca zmierzającego ku zachodowi igrały w listowiu i na brzoazowej korze. Przez chwilę przyglądałem się im i ptakom.

Teraz trzeba zdecydować, gdzie iść – pomyślałem. Wybrałem kierunek i ruszyłem przed siebie. W niedużej odległości od młodnika znajdowała się wioska, podobna do tych z okolic Marek. To przekonało mnie, że nadal jestem w Polsce. A więc niedaleko nas odwieźli. Zaczął dokuczać mi głód, cienka zupka nie na długo wystarczyła. Postanowiłem zajść do pierwszego gospodarstwa z brzegu.

Wszedłem pomiędzy zabudowania. Przy studni przed domem stała kobieta w długiej ciemnej sukni, na którą miała nałożony biały fartuch. Gdy się do niej zbliżałem, lustrowała mnie wzrokiem.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziałem.

- Na wieki wieków – odrzekła po polsku, ale z gardłowym akcentem.

- Gospodyni, pozwolicie napić się wody i trochę obmyć?

- Pozwalam. A dokąd to Bóg prowadzi?

- A za robotą idę – powiedziałem, pijąc wodę z wiadra. - Nie potrzebujecie może do pracy?

- U nas jest parobek.

Z domu wyszedł mężczyzna, popatrzył chwilę i zawołał po niemiecku:

- Helga, zabierz go do domu.

Nie ma co, ładnie trafiłem. Dobrze, że trochę liznałem w szkole niemieckiego. Co prawda niechętnie się go uczyłem, ale ojciec ciągle powtarzał: język wroga trzeba znać. Nie mogą pomiarkować, że ich rozumiem – zdecydowałem.

Przemyłem się trochę i razem z kobietą poszedłem do środka. Usiadłem przy stole w kuchni. Starsza kobiecina postawiła przede mną miskę z parującymi ziemniakami kraszonymi słoniną, kubek zsiadłego mleka i wręczyła łyżkę.

- Jedz, dziecko - powiedziała po niemiecku.

Gospodarz w wieku mego taty siedział na wprost, skręcając sobie papierosa. Uważnie mi się przyglądał. Srogości dodawały mu grube czarne brwi nad ciemnymi jak węgiel oczyma. To chyba nie był dobry pomysł zachodzić tutaj - pomyślałem. Obleciał mnie strach. Ale przecież coś trzeba wcinać - tłumaczyłem sobie. - Może to dobrzy ludzie? - starałem podtrzymać się na duchu.

Gdy skończyłem jeść, mężczyzna zapalił i zapytał po polsku, wypuszczając dym:

- No, gadaj, skąd tu się wzięłeś?

- Do domu przyszli żołnierze i mnie zabrali. Nie wiem, ile nas wieźli, ale strasznie tam było. To i uciekłem z transportu. Ja roboty się nie boję, umiem krowy paść i inne rzeczy w gospodarstwie robić.

- U mnie synów trzech i parobek, pomocy nie potrzebuję. A jak roboty się nie boisz, to trzeba było nie uciekać, bo do roboty cię wieźli. A skąd ty jesteś?

- Z Marek pod Warszawą.

Niemiec trochę jakby zeszywniał.

- W Warszawie powstanie, nasi żołnierze bronią Europy przed bolszewizmem, a twoi rodacy im nóż w plecy wbijają.

Do kuchni wszedł kilkunastoletni chłopak. Gospodarz coś do niego poszwargotał i ten od razu wyszedł.

- To ja waszych sąsiadów popytam, czy parobek się nie przyda - powiedziałem, wstając od stołu. - Bardzo dziękuję za gościnę i do zobaczenia - ukloniłem się na pożegnanie.

Nikt z domowników mnie nie zatrzymywał, więc wyszedłem. Czułem, że należy stąd jak najszybciej zmykać. Powoli przemaszerowałem przed oknami domostwa, zaraz za kamienną piwniczką, przylegającą do budynku, skręciłem w nieduży sad. Po

chwili wyszedłem na pole świeżo skoszonego żyta. Zboże stało złożone w stogi.

Jeszcze godzina i słońce zajdzie - oceniłem. W oddali rysowała się zieleń zbawczego lasu, dokąd skierowałem swoje kroki. Niewiele zdążyłem przejść, gdy usłyszałem warkot motoru. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem pędzący motocykl. Żołnierz siedzący w koszu znacząco potrząsał karabinem. Stałem. Do pierwszych drzew miałem jeszcze kawał drogi, a na ukrycie się pomiędzy snopami żyta było za późno. Pojazd zatrzymał się w pobliżu, żandarm wyskoczył i uderzył mnie na odlew. W ustach poczułem smak krwi. A jednak jestem pechowcem. Napastnik kopnął mnie jeszcze w tyłek i mocnym chwytem wepchnął do wózka; sam usiadł za kierownicą, motocykl ruszył.

Nie jechaliśmy długo. Na miejscu hitlerowiec wyszarpnął mnie za ramię i ciągnąc, wprowadził do murowanego budynku. W dość dużym pomieszczeniu przebywało dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Niemcy pogadali niezrozumiale, jeden z czarnych wstał z krzesła i zdjął z haczyka pęk kluczy. Zaprowadził mnie do celi. Drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem. Zazgrzytała zasuwka i zapanowała cisza.

Ale ze mnie dupek żołądny! - wyrzucałem sobie. - Trzeba było nie iść do nich, tylko gnać do lasu. Głupi, głupi! Już się prawie udało. Popłakałem się ze złości, cały czas stojąc przy wejściu. - A to miał być polski dom - wspomniałem swoje wrażenie. Otarłem łzy rękawem, rozglądając się po pomieszczeniu. Pod ścianą stało drewniane łóżko, obok taboret, w prawym rogu wiadro z pokrywką. Zajrzałem do środka, po zapachu zaraz zorientowałem się, do czego jest przeznaczone. Usiadłem na prycy, położyłem się, próbując zasnąć. Myślałem o tym, co mam powiedzieć, jak zacząć pytać, skąd się tu wziąłem. Nie mogłem

zebrać myśli, przez cały czas nurtowało mnie pytanie: czy to Gestapo, czy inny czort? Naraz usłyszałem przejeżdżający pociąg. Skojarzyłem mundury z niemiecką strażą kolejową, jaką widywałem na Dworcu Wschodnim. Dorośli często mówili, żeby szczególnie uważać na Bahnschutzpolizei, bo tam służą najgorsze szuje. Tak źle i tak niedobrze. Ostatecznie uspokoiłem się i zasnąłem.

Obudziło mnie skrzyknięcie zawiasów. Poderwałem się, ale za chwilę silne ręce przełożyły mnie przez taboret. Usłyszałem znany świst szpicruty. W pierwszym odruchu krzyknąłem, czując ból, przy następnych razach zagryzłem wargi i już nie krzyczałem. Bahnschutz skończyli i jeden z nich powiedział:

- Odechce ci się, gówniarzu, uciekać z transportu. Na stoliku masz miskę zupy i chleb. Najedz się, żebyś miał siłę pracować dla Niemiec.

Wasze niedoczekanie - pomyślałem. Znów zostałem sam, plecy piekły niesamowicie. Dobrze, że po dupie nie bili, będę mógł siedzieć.

Zjadłem wodnistą zupę, chleb schowałem do kieszeni spodni. Położyłem się na brzuchu i myślałem o rodzicach. Tata nie lał mnie nigdy zbyt mocno, owszem, rzemyki parę razy wcięły mi się w skórę, ale aż tak mnie nie bolało. Jedna za drugą spływały po moich policzkach łzy, bardziej jednak z tęsknoty za mamą, która po ojcowym praniu tuliła mnie niepostrzeżenie. Wstrząsany falami niemego płaczu i złości, że dałem się złapać jak ten głupi, w końcu poczułem zmęczenie. Zasnąłem. Śniłem o powrocie do domu. Sen był tak realny, że niemal czułem dotyk matczynych dłoni. Widziałem ojca dumnego z mojego powrotu i uradowane rodzeństwo.

*

Odemknąłem oczy, gdy promienie wschodzącego słońca przelały się przez zakratowane okienko na moją twarz. Szare wnętrze celi nabrało trochę blasku. Dopiero teraz zauważyłem, że kawał ściany zadrapany jest jakimś napisami. Zacząłem je przeglądać, były tam nazwiska ludzi, daty i modlitwy. Nisko, tuż nad łóżkiem, ktoś wydrapał „*Jeszcze Polska nie zginęła 1943*”. Ale ludu tu siedziało. Liczyłem wpisy, doszedłem do dwudziestu czterech, a nie była to nawet połowa.

Zachrobotał otwierany w drzwiach zamek, wstałem z pryczy. Niemiec zlustrował mnie wzrokiem. Złapał za szyję i wyprowadził z celi. Silny uścisk sprawiał mi ból, zrazu przestraszyłem się, ale trwało to tylko chwilę. Strażnik wepchnął mnie do małego pomieszczenia i posadził na taborecie stojącym przed biurkiem.

- Name? - pytał rudy szwab z nalaną czerwoną gębą.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Jak się nazywasz?! - warknął po polsku.

Podskoczyłem na stołku, tak wystraszył mnie ton jego głosu.

- Henryk Dąbrowski - wypowiedziałem, sam dziwiąc się swoim kłamstwem; jednocześnie poczułem satysfakcję.

- Ile masz lat?

- Dwanaście.

Spojrzał na mnie, mrużąc jasne małe oczy.

- Nie łżyj, ścierwo, bo mam ja swoje sposoby! - Mówiąc to, poklepał leżącą na blacie pałkę.

- Jak Boga kocham... dwanaście lat... skończyłem w marcu - wydukałem. Całe ciało oblał mi zimny pot.

- Skąd jesteś?

- Z Pustelnika pod Markami - znów łągałem jak z nut.

- Kim są ojce?

- Rolnikami, mamy małe gospodarstwo.

- Rodzeństwo jest?

- Trzy siostry i brat - brnąłem w kłamstwo, przerabiając w myślach imiona braci.

- Posłuchaj, gnojku. Jak jeszcze raz uciekniesz, wywieziemy całą twoją rodzinę do obozu koncentracyjnego. W twoich rękach ich przyszłość. Kładź się na taboret. - Niemiec wstał z za biurka, zawijając prawy rękaw koszuli. - No na co czekasz? - powiedział ostro, biorąc do ręki gumową pałkę. - Odechce ci się ucieczek.

Ledwo wszedłem do celi, bolały mnie plecy i zadek. Zasłużyłem, dałem się złapać. Trzeba myśleć głową, a nie brzuchem. Na stoliku zauważyłem kubek z gorącą cieczą i talerz z kawałkiem chleba i słoniną. Nie miałem nastroju na jedzenie, rzuciłem się na pryczę. Strażnik zamykający za mną drzwi wrócił do środka i bijąc dłonią po głowie, ściągnął mnie z łóżka. Wrzeszczał przy tym coś po niemiecku. Na koniec dodał łamaną polszczyznę:

- W dzień nie wolno się kłaść, gówniarzu!

Usiadłem na zydlu; nie była to wygodna pozycja dla bolącego tyłka. Wstałem i napiłem się gorącego płynu, zjadłem chleb z kieszeni, a świeżą porcję schowałem. Ciekawe, co ze mną zrobią, ale jak karmią, to chyba nie zabiją, sukinsyny. Położyłem się pod wejściem, tak aby nikt nie widział mnie przez wizjer. Skuliłem się i popłakałem sobie w rękaw.

Wrócę do domu, do mamy. Ucieknę i tyle mnie będziecie widzieli, dranie. Nie będę na was robił - mówiłem sobie w myślach.

Około południa drzwi otworzyły się i dostałem do ręki miskę zupy. Bahnshutz nie ruszył się, ponaglaając do jedzenia. Jak tylko

skończyłem jeść, kiwnął na mnie ręką. Wstałem i wyszedłem z celi. Zostałem wyprowadzony na zewnątrz, gdzie czekał motocykl z koszem i dwoma żandarmami. Kazali mi wsiadać i natychmiast ruszyliśmy. Droga, którą jechaliśmy, nie była najlepszej jakości – istne wertepy. Zacisnąłem zęby, żeby nie przygryźć języka. Przez cały czas Niemiec siedzący na tylnym siodełku trzymał mnie mocno za kołnierz koszuli. Bałem się, że mnie udusi, szczególnie gdy motocykl wpadał kołem w jakieś zagłębienie. Na szczęście jazda nie trwała długo.

Dojechaliśmy do miejsca postoju składu towarowego wiozącego ludzi na poniewierkę. Niemcy wrzucili mnie do jednego z wagonów. Nie było tu tak ciasno jak w pierwszym transporcie. Można powiedzieć, że nawet luźno. Chwilę trwało, zanim przywykłem do panującego wewnątrz półmroku. Ujrzałem dosyć młode, w większości kobiece twarze. Wpatrywały się we mnie. Z ich ust posypały się pytania, między innymi: skąd się tu wziąłem i co to za miejsce.

Nie na wszystkie odpowiedziałem, z tej prostej przyczyny, że odpowiedzi nie znałem. Pasażerowie tego wagonu okazali się w większości warszawiakami i twierdzili, że mają dużo szczęścia, jadąc na roboty.

- Z czego tu się cieszyć?! - burknąłem. - Też mi radosna nowina.

- Synku - odezwała się pani z pięknie ułożonymi blond włosami, choć może niezbyt czystymi - nie wiesz, co mówisz. Jak nas ronowcy wygnali z domów na Grójeckiej, chłopców i starców zabijali na miejscu. Do piwnic wrzucali granaty i podpalali kamienicę za kamienicą. Zapędzili nas na Zieleniak, tam przeszliśmy gehennę, prawie bez wody i jedzenia kilka dni i nocy. Do tego te pijane świny wyciągały z tłumu dziewczęta na uciechę

i śmierć. - Opowiadając, pobladła, a jej oczy jaśniały w półcieniu. Przez chwilę milczała, myślami nieobecna. - Pod murem wkrótce leżały zwały trupów. Gdyby nie rozkaz Niemców, że mamy iść do Pruszkowa, to kto wie... Lepiej żyć na szwabskim garnuszku niż wachać kwiatki od spodu. Pożyjesz, to się przekonasz - zakończyła pewnie.

- W nosie mam ten ich garnuszek - powiedziałem pod nosem.

- U Niemca robić to hańba dla Polaka - dodałem buńczucznie.

- O, znalazł się patriota! - zareagował nerwowo facet w ciemnym garniturze. - Przez takie gadanie całe to powstanie wybuchło. Mnie zastało w fabryce Franaszka. Jak tylko wdarli się tam Niemcy, to zrobili rzeźnię. Cudem przeżyłem, zaraz zaczęli na teren spędzać ludzi z okolicznych domów i tam ich rozstrzeliwali. Mnie włączyli do grupy trupiarzy, kazali nam ciała palić. Takie były góry zabitych - mówiąc, uniósł głowę. - Do drugiego piętra. Nawet jeden esesman tego nie zdzierzył. Trzęsąc się, złapał mnie pod rękę i zaprowadził do kościoła Świętego Wojciecha. Gadał mi, że chociaż mnie ocali. Płakał po drodze i przeklinał nasze podziemie. - Zakasłał zamasyście. - Żeby oni chociaż poczekali, aż Sowieci podejną pod miasto. To nie, sami chcieli Warszawę wyzwolić.

- Na własne oczy widziałem ruskie czołgi pod Markami i bitwa tam była, i nasi z nimi Niemców lali. Rosjanie mówili, że zaraz przyjdzie cała armia czołgów - oznajmiłem.

Mężczyzna patrzył na mnie smutno.

- Widzisz moje siwe włosy? - zapytał. - A jeszcze w lipcu miałem kruczoczarne. Trzy tygodnie temu.

Musiałem mieć głupią minę, bo facet popatrzył na mnie z politowaniem i zamilkł. Byłem zaskoczony faktem, że to mój trzeci tydzień tułaczki.

Podeszła do mnie młoda kobieta ubrana trochę jakby po wojskowemu, ale nie był to mundur.

- Zdejmij koszulę! - rozkazała.

Zdębiałem, ale powiedziała to takim tonem, że wykonałem polecenie. Zobaczyłem na swym ubraniu krwawe pręgi. Pani wyjęła chustkę z kieszeni i poleciała, bym na nią oddał mocz. Zbity z tropu, wysikałem się. Ona wzięła ode mnie mokry materiał i przetarła nim plecy. Zapieкло mnie i zaszczypało.

Zdjęła swoją marynarkę i wręczając ją, powiedziała:

- Weź, przyda ci się, ja mam jeszcze sweter. - Uśmiechnęła się, a biel zębów rozświetliła jej twarz. - No, bierz, dzieciaku - dodała miłym tonem, potrząsając żakietem.

Nałożyłem koszulę i wziąłem od niej podarunek.

- Dziękuję - powiedziałem trochę zdziwiony. - A panią gdzie złapali?

- Mnie dopadli w Szpitalu Zakaźnym na Wolskiej. Wiesz, gdzie jest Wola?

- Z Warszawy to znam trochę Pragę.

- Ulica Wolska to jedna z głównych arterii, dla hitlerowców było ważne, żeby nad nią na nowo zapanować. Nasi bronili się twardo, a szkopy stosowali różne perfidne metody. Udając powstańców, zajęli kilka budynków. A potem, atakując barykadę, osłonili cywilami swoje czołgi... - Wpatrzyła się w przestrzeń nade mną. - Byłam żywą tarczą. Masakra, ale Matka Boska czuwała... - Zamilkła i wróciła na swoje miejsce.

Przysunął się do mnie chłopak o śniadej cerze, świdrując mnie jasnymi oczyma. Z jego postawy emanowała niepokorność. Wydał mi się starszy ode mnie, ale z owalnej twarzy nie było można łatwo wyczytać wieku.

- Jestem Jurek z Zamojszczyzny - oświadczył, wyciągając

rękę.

Podałem swoją dłoń; uścisk miał dość silny, ale bez przesady. Przysiadł obok. Zwróciłem uwagę na porządne wiązane trzewiki. Podobne do moich.

- To zwiąłeś z transportu? - pytał jakby od niechcienia.

- No!

- Daleko uszedłeś? - w jego oczach zobaczyłem zainteresowanie.

- Nie za bardzo - odburknąłem, nie chcąc chwalić się swoją głupotą.

- Ja też raz dałem nogę, nawet już byłem pod Zwierzyńcem - mówił, pilnie mnie obserwując. - Taki byłem szczęśliwy, że już blisko do domu.

- I co się stało?

- Spotkałem innych uciekinierów, przyznałem im się, nakarmili i zaproponowali podwózkę. Jak się okazało, to byli folksdojczy, co przed czerwonymi zawijali się do Rajchu. Wydali mnie pierwszemu patrolowi.

Teraz i ja opowiedziałem nowemu koledze o swoich tarapatach. Jak się okazało, błyskawicznie znaleźliśmy wspólny język. Doszliśmy do zgody, że trzeba nam uciekać przy nadarzającej się okazji. Jurek wydał mi się rezolutny i konkretny, całkowicie mu zaufałem.

- Słuchaj, Bronek, to na pewno te szwaby ci żandarmów nasłały. Dlatego nie można zachodzić do wsi. Trzeba radzić sobie samemu, bez niczyjej pomocy - ściszył głos - a jak razem damy nogę, będzie nam różniej.

Ten blondyn, trochę ode mnie wyższy, z uśmiechem w oczach i pewnością w sobie, dodał mi otuchy.

- Tylko gdzie oni nas wywożą?

- Przez okienka musimy obserwować słońce, wtedy ustalimy kierunek - tym stwierdzeniem przekonał mnie do siebie ostatecznie. - Jak staniemy na jakiejś stacji - kontynuował - i nas wypuszczą z wagonów, to pryskamy.

Dalsza podróż wyglądała podobnie jak poprzednio, więcej sterczeliśmy w miejscu, niż jechaliśmy. Tym razem we dwóch staraliśmy się liczyć dni i kontrolować kierunek jazdy. Ogólnie mieliśmy przeświadczenie, że pociąg zmierza na północny zachód. Raz otworzono wagon, ale nikomu nie pozwolono go opuścić. Dostaliśmy do środka chleb, dwa wiadra wody i worek pustych puszek. Zaraz znalazły się osoby, które rozdzieliły pożywienie pomiędzy współtowarzyszy niedoli. Zanim zamknięto drzwi, trzeba było oddać wiadra. Wolno ruszyliśmy w dalszą drogę, pociąg jechał, ale często zatrzymywał się na długie postoje. Na zmianę z Jurkiem wyglądaliśmy przez jedno z okienek. Mijaliśmy osiedla oraz jedno duże miasto. Nikt spośród współpasażerów nie wiedział, co to za miejsca. Gorąc panujący w środku dawał nam się we znaki, duchota i pragnienie wysuszyły mi usta. Język jak kołek, a śliny nie miałem w ustach nawet na splunięcie. Przestałem się nawet pocić. Myślałem o domu, zimnej wodzie ze studni i chłodniku, który mama przyrządzała w upały. Okazało się, że łyżę jeszcze w sobie mam. Szloch wstrząsnął całym moim ciałem. Jurek spojrzał surowo swymi błękitnymi oczyma.

- Nie rycz! Przecie nie jest z ciebie jakiś smark! Przesuń się do wyjścia - dodał tajemniczo. - Zdaje mi się, że będzie postój.

Zrobiłem, jak mi powiedział. Usiadłem obok faceta, który wcześniej narzekał na przedwczesne wywołanie powstania.

- Nie martw się, młody - odezwał się siwiutki osobnik. - Nie wiozą nas na śmierć. Jakoś to będzie. Jeszcze zobaczysz mamę.

- Pewnie, że zobaczę, i to niedługo - odburknąłem.

Zatrzymaliśmy się, a Jurek oznajmił, że widzi drzewa. Warszawianka z Woli wyglądająca przez okno po przekątnej zauważyła inne pociągi oraz Niemców z kuchnią polową.

Słyszając charakterystyczne skrzypienie, oczekiwaliśmy na otwarcie drzwi. Niebawem to nastąpiło, z zewnątrz wpadło do środka świeże powietrze. Oddychałem pełną piersią. Esesman obrzucił nas wzrokiem i zakazał wychodzenia, a na odchodne dodał:

- Wasser und Mittagessen!

Mężczyzna w garniturze odebrał wiadro z zupą, a ja z wodą, które podałem dalej. Niemka w brunatnym uniformie wstawiła jeszcze jedno z pokrojonym chlebem. Zagarnąłem kilka kromek, chowając je do kieszeni marynarki. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Jurek, wręczając mi puszkę z pochlipającą, szepnął:

- Szybko szamaj!

Zjedliśmy w tempie. Poszedłem nabrać wody do opróżnionych „naczyni”. Gdy wracałem, zobaczyłem, jak Jurek wystawił głowę, rozglądając się na boki. Dałem koledze blaszankę - gulgocząc, wypił, nie odrywając ust. Zrobiłem tak samo. Kątem oka zobaczyłem ofiarodawczynię marynarki przeciskającą się w naszym kierunku.

- Wiejemy - szepnął Jurek i zsunął się pod pociąg.

Upuściłem puchę zaskoczony i nie namyślając się, poszedłem w jego ślady. Przeturlałem się pod pociągiem na drugą stronę zaraz za nim. Na czworakach dotarliśmy do ogrodzenia z drutu; leżąc, zaczęliśmy je rozplatać. Było to ogrodzenie prowizorycznej roboty, dlatego poradziliśmy sobie gołymi rękoma. Coś za nami zaszurgotało. Jurek oznajmił:

- Ta babka za nami lezie.

- Halt! Halt! - usłyszałem, a zaraz potem padły strzały. Pocisk

świsnął mi nad głową

Dobrze, że nie każdy zabija.

- O Jezus, Mariaaaa... - jęknęła kobieta za moimi plecami.

To nas zdopingowało do działania. Natychmiast wepchnęliśmy się w dziurę, Jurek przelazł i zniknął w krzakach. Ja chciałem zrobić to samo, ale zaczepiłem prawą nogą o jeden z drutów, który po szarpnięciu ugrzązł w cholewce trzewika. Odwróciłem się, wyciągając go z buta. W odległości dziesięciu metrów leżała na ziemi warszawianka. Jej jasną twarz oblepiały nasiąknięte krwią włosy. Podbiegł do niej żołdak i szturchnął karabinem, dziewczyna obydwoma rękoma złapała za broń i przewróciła hitlerowca. Wrzeszczał o pomoc, a od pociągu biegło dwóch jego kamratów. Natychmiast dałem nurka za Jurkiem; ulżyło mi, bo czekał na mnie.

- Za mną - syknął. - Szybko.

Pobiegliśmy przed siebie kanałkiem odwadniającym, drzewa widziane wcześniej przez okienko pociągu rosły wąskim pasem. O tyle spełniły swoje zadanie, że osłoniły nas przed spojrzeciami strażników. Następnie przegramoliliśmy się przez drewniany płot. Wpadliśmy tam w krzewy agrestu. Za nimi były płytkie dziury w ziemi, tymi wertepami dotarliśmy do szerokiej łąki.

- Bronek, trzeba nam iść na wschód, tera jest jakoś po południu. - Przerwał na chwilę, spojrzał na niebo. - Tam jest wschód - wskazał prawą ręką kierunek.

- Też tak myślę, jutro rano to się upewnimy, gdzie słońce wstaje.

- Najgorsze, że lasu nie widać. Musimy się gdzieś ukryć do wieczora - powiedział zdyszany Jurek.

- Chyba nas nie gonią, ale ta pani została - wystękałem.

- Może tylko ją widzieli, jak uciekała? Zanim się zorientują,

musimy odejść jak najdalej.

Za sobą trochę na lewo widzieliśmy miasto. Na wprost, gdziekolwiek spojrzeć, była pusta przestrzeń; w oddali coś majaczyło, ale z tej odległości nie mogliśmy dojrzeć, co to jest. Nerwowo szukaliśmy zagłębienia w terenie, żeby móc w nim przeczekać do wieczora. W pewnym momencie ujrzeliśmy przed sobą chmurę wznoszącego się pyłu. Położyliśmy się w niewysokiej trawie. Usłyszałem odległy warkot silnika, który po pewnym czasie zaczął się oddalać. Kiedy całkiem ucichł, unieśliśmy głowy.

- Pojechały psubraty - stwierdził kolega.

- Myślisz, że tam w dali to las? - zapytałem.

- Gdzieś w końcu będzie - rzekł i jego twarz rozświetlił uśmiech.

Poczułem się o wiele różniej, cała niepewność w tej chwili mnie opuściła. Jurek imponował mi niezachwianą wiarą oraz radosnym usposobieniem.

- Tera musimy wyglądać z daleka na spokojnych. Chodź. - Wstał, rozejrzał się uważnie i ruszył przed siebie.

Patrzyłem na niego z podziwem i starałem się naśladować. Tak samo od niechcienia, ale równo wyciągałem nogi. Co jakiś czas rozglądałem się uważnie wokół. Jurek gestykulował zamasyście, mówiąc o różnych stworzeniach żyjących na łąkach. Twierdził, że koniki polne i chrabąszcze można jeść.

- Niektórych należy się wystrzegać, nauczysz się. A, i trzeba uważać na żmije, bo jak która dziabnie, to może być źle.

- Nie lubię węży - stwierdziłem. - Indianie to podobno je jedzą.

- A pewno. Fajnie byłoby być czerwonoskórym, tak na prerii - zamarzył Jurek.

Maszerowaliśmy już pewnie z godzinę, gdy do naszych uszu

ponownie dobiegł warkot. Tym razem od tyłu. Znów padliśmy plackiem na ziemię. Szum silnika narastał z każdą chwilą. Nie widziałem wcześniej żadnej drogi i to mnie martwiło.

- Może nas gonią? - wyszeptałem.

- Wypluj to słowo.

Nie minęło dużo czasu, gdy pojazd stanął w naszym pobliżu. Usłyszeliśmy niemiecką mowę i zbliżające się kroki. Zacisnąłem powieki.

Żeby nie znaleźli, żeby nie znaleźli, Najświętsza Panienko! - błagałem.

Leżeliśmy w trawie, udając, że nas nie ma. Nie na wiele to się zdało.

- Ha ha ha... - rechot człowieka stojącego nade mną wszystko wyjaśnił.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem niemieckiego żołnierza z automatem zawieszonym na szyi. Szwab kopnął Jurka w bok i coś krzyknął. Wstaliśmy, unosząc ręce do góry. Popychani, zostaliśmy zaprowadzeni do motocykla i wepchnięci do kosza. To już moja trzecia przejażdżka na motorze. Tym razem było zdecydowanie ciaśniej. Jadąc, rozglądaliśmy się wokół. Wjechaliśmy na polną drożynę i w kłębach kurzu pruliśmy przed siebie.

Ale by się takim uciekało. Tylko jak tym się powozi? Może Jurek umie? Eee... pewno nie - myślałem. - Będę miał taki motor, jak dorosnę - postanowiłem.

Po około półgodzinnej jeździe nasz środek lokomocji zatrzymał się przed dość dużym murowanym budynkiem. Hitlerowiec, nie szczędząc nam kopniaków i wyzwisk, zagnał nas do środka.

Pierwsze, co zauważyłem, to odrapany z zielonej farby

drewniany stojak na karabiny. Przy biurku siedział młody człowiek i on wyglądał tu na dowódcę. Żandarm chwilę z nim porozmawiał, po czym zasalutował i wyszedł. W pomieszczeniu przebywali również inni umundurowani ludzie, ale wszyscy byli dużo starsi od swego komendanta. Można by rzec, że dziadkowie o pomarszczonych twarzach i spracowanych dłoniach. Było ich siedmiu, jeśli dobrze policzyłem. Pogadali między sobą i jeden z mężczyzn, szwargocąc coś pod nosem, wyprowadził nas na zewnątrz. Poczulem ucisk w żołądku, ale spokój bijący z oczu Jurka w okamgnieniu spłynął i na mnie.

Niemiec otworzył przylegającą do budynku drewnianą komórkę i gestem ręki „zaprosił” nas do środka, zamykając drzwi na skobel. Po minucie wrócił, przynosząc jedzenie. Wręczył nam miski i chleb, patrząc z politowaniem i jakimś ciepłem w zielonych oczach. Zjedliśmy gęstą grochówkę, a stary człowiek mówił coś o dzieciach miłym tonem. Jak tylko oddaliśmy naczynia, staruszek wyszedł.

- Bronek, spróbujemy nawiać, chyba nam się uda - stwierdził Jurek i zaczął skakać i walić w drzwi, które całe się trzęsły.

Niemal natychmiast nasz strażnik otworzył je i Jurek dał mu do zrozumienia, że potrzebuje do wychodka. Gdy tylko wyszli, ja zacząłem robić to samo. Niemiec wrócił i mnie również wypuścił. Jurek pozostawiony sam sobie, niewiele myśląc, dał nura w krzaki za szopą. Staruszek zaśmiał się głośno i poszedł, nie spiesząc się, za uciekinierem. Wtedy ruszyłem biegiem wzdłuż przybudówek i obiegłem je dookoła. Wskoczyłem w krzewy i tyle mnie widzieli. Zobaczyłem postać Jurka i puściłem się za nim pędem przez pole w kierunku lasu. Za sobą słyszałem pokrzykiwania. Kilka minut trwało, zanim dopadliśmy drzew. Nie było tu chaszczy, tylko strzeliste sosny. Biegliśmy więc dalej, ile sił, zmęczenie jednak

zaraz zaczęło dawać znać o sobie i obydwu nam brakowało tchu. Zatrzymaliśmy się na moment, łapiąc oddech i nasłuchując. Płuca pracowały nam jak miechy. Wpadliśmy sobie w ramiona zadowoleni z efektu ucieczki. Po chwili jednak do naszych uszu dotarł niepokojący dźwięk silnika. Pogoń zmierzała w naszą stronę. Natychmiast ruszyliśmy przed siebie, nie zwracając uwagi na kierunek, w którym biegniemy. Dźwięk silnika to się przybliżał, to znów oddalał. W pewnym momencie wyskoczyliśmy na leśną drożynę prosto na Niemca z karabinem.

- Halt, Polnische Schwein!

Stanęliśmy jak wryci. Żandarm krzyknął jeszcze coś po swojemu i zza drzew wyjechał samochód terenowy.

Auto zatrzymało się i dwóch żołdaków doskoczyło do nas. Teraz zaczęło się bicie. Najpierw dostałem pięścią w twarz i wywróciłem się na ziemię. Niemiec zaczął mnie kopać raz za razem, gdzie popadnie. Rękoma osłaniałem głowę. Jurek upadł obok mnie. Wreszcie hitlerowcy wyładowali swoją wściekłość i wrzucili nas do samochodu. Wtedy straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na ziemi w jakimś ciemnym miejscu. Próbowałem się rozejrzeć, ale nic nie było widać.

- Jurek, jesteś tu? - wyszeptałem przestraszony.

- Jestem. Chyba nas w piwnicy zamknęli - mówił cicho.

- Cały jesteś?

- Nerki mnie bolą i zęba mi wybił sukinsyn - odpowiedział po chwili. - A ty?

- Najbardziej to mnie boli głowa - powiedziałem i zamilkłem na moment.

- Tu jest tak ciemno, że nic nie widzę.

- Ja też... To wszystko moja wina, ja pechowy jestem - użalałem się.

- Stary, nie ma czegoś takiego jak pech. Jest tylko nieprzewidziany zbieg okoliczności.

- Chyba już im nie uciekniemy - mówiłem z rezygnacją.

- Bronek, jak Boga kocham, jeszcze im pryśniemy. Zobacysz, uda się nam - mówił energicznie. - Teraz trzeba trochę odpocząć, ale jak nabierzemy sił, to ino migoty i zajdziem do twojego domu.

- Od razu pójdziemy do mnie?

- No! Mamy bliżej, bo wieźli nas na północny zachód - powiedział z takim znanstwem, że wszelka niepewność prysnęła.

*

Nie wiedzieliśmy już, jak długo siedzimy zamknięci w tej ciemnicy. Zdążyliśmy dokładnie zbadać „nasze” pomieszczenie. Wzrok przywykł nam do ciemności i trochę po omacku wyliczyliśmy, że jesteśmy w piwnicy, która ma dziesięć na dziesięć kroków. Było tu trochę różnych śmieci, drewno i węgiel. Niestety nie znaleźliśmy nic do jedzenia. Pochłonęliśmy więc kromki chleba, które zawiąłem w wagonie. W pewnym momencie otworzył się właz w suficie.

- Komm! - zawołał ktoś z góry.

Podszedłem pod otwór, mrużąc oczy. Niemiec zrzucił mi butelkę, ledwo ją złapałem; następnie na podłogę upadł kawał chleba. Potem wlot zatrzaśnięto z hukiem. Napiliśmy się i podzieliłem chleb, część zjedliśmy od razu, a część trafiła do kieszeni. Za drugim razem z góry zrzucono wiadro, do niego załatwialiśmy swoje potrzeby. Godziny albo i dni ciągnęły się niemiłosiernie. Trzy czy cztery razy dostaliśmy coś do jedzenia i picia. Jurek w pewnym momencie uznał, że musimy ćwiczyć, aby nie stracić sprawności. Robiliśmy więc przysiady. Ci na górze

specjalnie się nami nie interesowali. Nawet byliśmy zdziwieni, że nie chcą wiedzieć, kim jesteśmy.

- Bronek, jak ciebie wtedy złapali, to pytali się o co?

- Tak. Ale kłamałem.

- To dobrze. Nie wolno im nic mówić. Najlepiej udawać głupka. No wiesz, że nic nie rozumiesz, że nie chodziłeś do szkoły.

- Aha.

- A ciebie w domu to jakoś przezywali?

- Mama mówi na mnie Dzidek. Jak byłem mały, to myślałem, że tak się nazywam.

- To jakby co, to tak mów, że jesteś Dzidek i nic więcej nie wiesz. Na wsi mieszkałeś, jakąś nazwę sobie wymyśl.

- Dobra.

- A o mnie to też tylko, że w pociągu poznałeś.

- Jurek, a ta twoja Zamojszczyzna to duża wieś?

- A ty nie wiesz czy głupiego już udajesz? - zapytał zdziwiony. Zaśmiałem się.

- Wiem, że to taki rejon jest. Pamiętasz, mówiłem ci, że u mnie w domu pisemka były czytane. To o Zamojszczyźnie też było, że Hitler chciał z całej wszystkich Polaków wywieźć, ale mu podziemie nie dało.

- No, do naszej wsi szkopy dwa razy się zabierali, ale bechowcy z akowcami zasadzili się na nich i dali im bobu. Mój tato i starszy brat partyzantami są, u „Wira”. - Zamilkł na chwilę, jakby się zagalopował w opowiadaniu. - Wiesz co? Nie gadajmy o tym. Lepiej zapomnieć. Nic o sobie nie wiemy, Dzidek. A o mnie mów po prostu Juruś.

Trochę zdziwiło mnie nagłe zakończenie rozmowy. Już myślałem, że dowiem się o nim czegoś więcej i sam też chciałem trochę opowiedzieć. Uznałem jednak, że ma rację. W końcu mój

tata też powtarzał, iż czasem lepiej za dużo nie wiedzieć. Jednak brak zaufania do mnie odrobinę mnie irytował. Zacząłem się zastanawiać, czy Jurek ma coś do ukrycia. Tak naprawdę nic o nim nie wiem, nawet tego, ile ma lat. Już miałem się odezwać, gdy znienacka kłapa została odrzucona i na dół spuszczone drabinę. Niemiec kazał nam zabrać ze sobą wiadro. Jurek wyszedł jako drugi. Szkop popędził go do wychodka, aby tam wylał ekskrementy. A ja zostałem w środku. Po stojaku na karabiny poznałem, że jesteśmy na tym samym posterunku z dziadkami, co przedtem. Siedziało tutaj tych wiekowych mężczyzn kilku. Mnie zawołał do siebie młody dowódca. Podeszedłem do biurka; nie było tu żadnego krzesła, więc stałem. Komendant zapytał się o coś, ale naprawdę nic nie zrozumiałem. Zrobiłem pewno głupią minę, bo przyglądał mi się dziwnie. Zawołał zaraz jednego ze swych podwładnych.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Dzidek.

Nastąpiła konsternacja, Niemcy popatrzyli na siebie i zaraz powtórzono pytanie. Odpowiedziałem tak samo.

- Skąd jesteś?

- Ze wsi.

- Jakiej?

- A bo ja wim? - odpowiedziałem, naśladowując sposób mówienia kolegi.

- No gadaj! - huknął na mnie.

Rozpłakałem się i zacząłem trajkotać:

- Panie żandarm, ja nie wim, ja niewinny. Mnie zabrali z domu, ja nic nie wim. - Wyłem przy tym wniebogłosy. Kątem oka zobaczyłem wracającego z wychodka Jurka, którego wyraźnie zaniepokoiły moje spazmy.

Stary Niemiec pogłaskał mnie po głowie, mówiąc coś spokojnym tonem. Potem poszwargotali z dowódcą i tamten machnął ręką. Zostałem wyprowadzony na zewnątrz. Na podjeździe stał ten sam samochód, którym nas przywieziono. Po kilku minutach wyszedł z budynku Jurek. Puścił do mnie oko.

Kierowca otworzył drzwiczki i gestem ręki przywołał nas do środka. Usadowiliśmy się na dość szerokim siedzeniu. Za nami usiadło dwóch Niemców i samochód ruszył. Co jak co, ale sama jazda mi się podobała. Jurek siedział przy drzwiczkach, a ja od strony prowadzącego auto. Przez całą drogę obserwowałem, jak mężczyzna wciskał coś nogami i ruszał dźwignią. Początkowo było to dla mnie tajemnicze, ale dość szybko zauważyłem, po co on to robi.

Ale to ciekawe jest, takie prowadzenie - pomyślałem. - Samochód też jest równie fajny jak motocykl.

Niemiec zauważył, że pilnie go obserwuję, uśmiechnął się pod wąsem i zaczął coś gadać. Ale kto by go zrozumiał? W pewnym momencie nacisnął na guzik i zatrąbił. Podskoczyłem do góry zaskoczony. Ale mnie zrobił. Podróż trwała jeszcze chwilę. Jak się okazało, zostaliśmy zawiezieni do torowiska. Tutaj stała już grupa pięciu osób pilnowana przez strażników. Dołączono nas do nich. Szofer naszego samochodu podszedł i odciągnął mnie na bok.

- Słuchaj, gnojku, tyś nie taki głupi, jakiego udajesz.

Zrobiło mi się gorąco. Po co się tak na niego gapilem, no po co?

- Nie radzę wam więcej uciekać. Następnym razem zginiecie albo traficie do obozu koncentracyjnego - powiedział łamaną polszczyzną i otwartą dłonią trzepnął mnie w czoło. - Wtedy samochodem w życiu już nie pojeździsz - dodał cieplejszym tonem.

A właśnie, że pojeżdżę. Całą Polskę zjeżdżę - pomyślałem, nic się nie odzywając.

Niebawem nadjechał pociąg z bydłocymi wagonami. Strażnicy rozsunęli drzwi jednego z nich i kazali naszej siódemce wchodzić. Trzymając się blisko Jurka, wgramoliłem się do środka. Z ust wiezionych osób padły pytania o to, co to za miejsce. Ktoś z grupy wepchniętej wraz z nami powiedział, że to już Rzesza, wymieniając jakąś nazwę, której nie zrozumiałem. Lokomotywa zagwizdała i szarpnęła składem. Zupełnie nie byłem na to przygotowany, gdyby Jurek nie złapał mnie za ramię, poleciałbym na zbity pysk. Usiadłem, rozglądając się wokół.

Współtowarzysze podróży wyglądali na mocno doświadczonych przez los - w podniszczonej zakurzonej odzieży, o twarzach smutnych i wychudzonych. Jak się zdażyłem zorientować, większość stanowiły kobiety, od młodych po starsze. Mężczyzn można było policzyć na palcach jednej ręki. Nieopodal miejsca, w którym przycupnęliśmy z Jurkiem, siedział chłopak w zbliżonym do mnie wieku.

- A was skąd wiozo? - zapytał Jurek.

- Z Pruszkowa - odpowiedział chłopak i zamilkł.

Nieopodal siedziała młoda dziewczyna, całą twarz miała w ciemnogrnatowych siniakach, aż mi zrobiło się jej żal.

- My wszyscy jesteśmy z Muranowa - odezwała się, zataczając głową.

- Jesteście z Warszawy? - drążył Jurek.

- Tak, z okolicy Starego Miasta.

- A jak powstanie?

- Jeszcze trwa, ale Starówkę Niemcy już zdobyli.

Zaczęły się opowieści: o ciężkich bombardowaniach i ostrzale artyleryjskim trwającym nieprzerwanie. O walących się domach

i zasypanych ludziach, o pożarach i braku możliwości ich gaszenia, o gołębiarzach czyhających na najmniejszy ruch, o niemieckich natarciach i powstańczych kontratakach, o setkach rannych i zabitych. Wreszcie o tym, jak powstańcy odeszli z Muranowa.

- Wówczas hitlerowcy wyganiali nas z piwnic - mówiła posiniaczona dziewczyna. - Kto nie zdążył wyjść, ginął od granatów lub co gorsza od płonącej benzyny. Resztę przepędzono na teren magazynów na Stawkach. Jak znaleźli u kogoś coś z tych magazynów, to rozwałka. Potem kobiety i dzieci pognali do Pruszkowa. Mężczyźni zostali i już ich nie zobaczyliśmy. Zanim nas zapakowali do wagonów, to Starówka upadła, ponoć nasi wycofali się kanałami do Śródmieścia.

- A który jest dzisiaj? - zapytałem.

- Nas z Pruszkowa wywieźli drugiego września, nie wiem, ile jedziemy. Pociąg często staje, ale na pewno jest początek września.

- Dzisiaj jest piąty - odezwał się chłopak. - Albo szósty - dodał i odwrócił się do nas plecami.

Wkrótce transport znów się zatrzymał i w uchylone drzwi podawano jedzenie i wodę. Odbierający zaczęli wyklócać się o większy przydział, informując o dosadzonych pasażerach. Po jakimś czasie Niemcy przynieśli dodatkowe racje. Skład stał dość długo, aż wreszcie drgnął, tocząc się i telepiąc ku nieznanemu nam celowi podróży. Ludzie mówili, że teraz kierujemy się na północ. Jazda trwała krótko i znów mieliśmy przerwę w ruchu. I tym razem straciłem poczucie czasu. Wreszcie ruszyliśmy bardzo wolno. Szybciej by było, gdybyśmy wszyscy wysiedli i pchali. Jak to jest, że kiedy stoimy, człowiek czeka niespokojnie, aż ruszymy w dalszą drogę, a kiedy jedziemy, to marzy o tym, aby

ta podróż już się skończyła?

Niebawem zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym z zewnątrz dobiegał gwar i gardłowe okrzyki strażników. Od okiennych obserwatorów dowiedzieliśmy się, że jesteśmy na dużej stacji. Drzwi zostały rozsunięte.

- Wysiadać! Wysiadać! - darli się strażnicy.

Obydwaj zeskoczyliśmy z platformy jako pierwsi. Naszym oczom ukazał się rozjazd kolejowy z kilkoma stojącymi transportami. Wszyscy wysiadali - setki uprowadzonych osób, wynędzniałych i zmaltretowanych warunkami podróży. Świeże powietrze zadziało ożywczo, wokół panował gwar, ale krzyczeli tylko Niemcy. W pewnej odległości stały drewniane, nie za wysokie wieżyczki, z których obserwowali nas wartownicy. Z tej odległości nie widziałem twarzy, jednakże z postawy wyglądali na znudzonych.

Nagle poczułem nęcący zapach. Znajdowały się tu kuchnie polowe, z których wydawano pożywienie. Była również pompa i pod dostatkiem wody. Niektórzy ludzie starali się przepłukać przy sporym korycie. Wyglądało na to, że rozgadane ludzkie mrowie porusza się tu dość swobodnie. Złapaliśmy coś do jedzenia i picia, zakręciliśmy się w tłumie. Zaraz po zjedzeniu posiłku wcisnęliśmy się do kolejki po następną porcję.

Upychałem kromki chleba do kieszeni marynarki, gdy nagle Jurek szarpnął mnie za rękę i dał nura pod wagon. Nie namyślając się, zrobiłem to samo. Natychmiast przeskoczyliśmy pod następny skład i jeszcze kolejny. Przechłapaliśmy niezauważeni pod ostatnim pociągiem i dotarliśmy do siatki. Tu jednak spotkał nas zawód, bo ogrodzenie było mocne i zabezpieczone drutem kolczastym. Ruszyliśmy wzdłuż, szukając dziury. Przebiegliśmy kawał drogi i nic. W międzyczasie

minęliśmy furtkę. Zawróciłem do niej i pociągnąłem za klamkę. Stary zawias zazgrzytał donośnie. Miałem zawołać Jurka, ale on był już przy mnie. Pognaliśmy przed siebie na łeb na szyję.

Zbliżał się wieczór, więc i nadzieja na udaną ucieczkę wzrosła. Nagle zorientowaliśmy się, że przed nami jest spore jezioro. Wzdłuż brzegu ciągnęła się asfaltowa jezdnia. W pewnych odstępach od siebie stały dokładnie pomalowane na zielono ławeczki. W oddali majaczyło osiedle murowanych domów z czerwonymi dachówkami, od których odbijały się promienie zachodzącego słońca. Na tle białych budynków zobaczyłem jadącą drogą w naszym kierunku bryczkę zaprzęgniętą w dwa konie.

- Do wody - zdecydował Jurek.

Weszliśmy w zbiorowisko wysokich łądyg obrastających brzeg, brnąc przez gęstwinę trzciny; zanurzyliśmy się po same głowy. Woda była przyjemnie ciepła. Za moment usłyszałem przybliżający się tętent podkutych kopyt. Z miejsca ukrycia najpierw zobaczyłem konie, a następnie powożącego oficera w eleganckim niebiesko-stalowym mundurze. Prezentował się znakomicie. Niemiec minął nas, odjeżdżając w dal.

Umyłem twarz i głowę. Jeszcze jakiś czas siedzieliśmy w szuwarach, aż szarówka wieczoru zaczęła zasnuwać okolicę. Z niemałym trudem wyplataliśmy się z sitowia, wychodząc na brzeg.

- Jurek, musimy obejść jezioro, tak by nie wyleźć na miasteczko.

- To jasne. Trza nam iść tam - odpowiedział, wskazując głową kierunek. - Idziem.

Noc była ciemna, grube czarne chmury całkowicie zasłoniły niebo. Nie ujrzeliśmy nawet kawałka księżyca ani żadnej

gwiazdki. Maszerowaliśmy w milczeniu, nasłuchując uważnie. Jeśli z lewej usłyszeliśmy szczekanie psów, to odbijaliśmy w prawo, gdy z kolei dotarł do nas odległy hałas jadącego pociągu, również zboczyliśmy z kursu. Nad ranem zaczął padać rześisty deszcz, a my przez strugi wody zobaczyliśmy szarozieloną ścianę lasu. Jurek wybrał miejsce i zdecydował, że musimy odpocząć. Zbudowaliśmy z ułamanych gałęzi prowizoryczne schronienie. Byłem pod wrażeniem umiejętności kolegi w konstruowaniu dachu. Przytuleni do siebie poszliśmy spać. Nie wiem, kiedy deszcz przestał lać.

*

Ocknąłem się pierwszy. Wyglądało na to, że nadchodzi kolejny wieczór.

- Jurek, śpisz? - zapytałem.

Mój towarzysz poruszył się i otworzył oczy.

- Już nie - odparł, ziewając.

- Chyba przespaliśmy cały dzień.

- To wolność, Bronek - stwierdził Jurek. - Chodźmy, póki coś widać.

- A może już tu zostanemy? Skoro mamy pod czym spać.

- Bronek, nigdy nie przywiązuj się do prowizorki. Zapamiętaj sobie na całe życie - mówił spokojnie i pewnie - gdy do czegoś dążysz, to cel jest najważniejszy, reszta to pikuś. Wstał i ruchem ręki strzepnął igliwie ze spodni.

Ruszyliśmy przed siebie. Nie zaszliśmy jednak daleko z powodu zapadających ciemności. Wcześniej nigdy nie przebywałem w lesie nocą. Taki znany pewnie inaczej bym odbierał, ale znajdowałem się w obcym. Jeszcze bardziej

doceniłem, że nie jestem sam. Usiedliśmy pod rozłożystym dębem i postanowiliśmy posilić się skromnymi zapasami. Zmoczony wczoraj chleb mocno nasiąkł, ale na szczęście całkiem się nie rozpadł. Po skromnym posiłku nie mieliśmy kłopotu z ponownym zaśnięciem.

Nad ranem obudziły nas wiewiórki buszujące w koronie drzewa.

- Jakby taką upolować, to mielibyśmy trochę mięsa - powiedział zamyślony Jurek. - Celnie rzucasz kamieniami? Bo ja tak, kiedyś gołębia trafiłem prosto w łeb.

- Tylko skąd tu wziąć kamienie? - mówiłem, wskazując na ziemię. - Zobacz, jaka tu gruba ściółka.

- Chodźmy, Bronek - powiedział, podnosząc się z ziemi.

- A co z taką wiewiórką byśmy zrobili, na surowo zjedli? Ja nie umiem jak Indianin rozpalać ognia.

- Ja też nie, ale to inny kłopot... Po drodze nazbieramy kamieni, mogą się przydać.

- Oстрыm patykiem moglibyśmy obedrzeć ją ze skóry - stwierdziłem.

Dyskutując nad sposobami oprawienia zwierzaka, szliśmy pomiędzy starymi bukami, kierując się na wschód. Zatrzymywaliśmy się co jakiś czas, objadając krzaki jagód rosnące tu kępami. Znaleźliśmy też jeżyny, zjadaliśmy je również, pomimo że nie były jeszcze dojrzałe. Napotkaliśmy duże mrowisko. Jurek obejrzał je dookoła i wskazał na ścieżkę wydeptaną przez mrówki.

- Pewnie prowadzi do wody - zawyrokował.

- To mrówki piją wodę? - zapytałem.

- No pewnie - stwierdził i po chwili milczenia dodał: - A jadłeś kiedy mrówki?

- Próbowałem, ale pieką w język.

- Chodź, rozkopiemy mrowisko i dobierzemy się do jajek, są lepsze.

- Nie otrujemy się? - zapytałem.

- Jadłem nieraz i żyję.

Wybraliśmy grube kije i rozgrzebaliśmy kopiec. Zjedliśmy sporo larw, ale i dostaliśmy od mrówek za swoje. Tak mnie pogryzły, że skórę miałem w czerwone kropki aż do łokci i do tego piekło jak cholera.

- Dostyc tego, ale one waleczne - stwierdził Jurek. - Chodźmy, bo nas tu zeżrą.

Udaliśmy się wzdłuż mrówczej ścieżki i doszliśmy do leśnego jeziora. Piliśmy wodę, nabierając ją rękoma. Ulga była podwójna: ugasiliśmy pragnienie, jednocześnie chłodząc rozpalone dłonie. Rosła tu pałka wodna, patrząc na nią, klepnałem się otwartą dłonią w czoło. Kilka wystraszonych ptaków poderwało się gwałtownie z zarośli do lotu.

- Jurek, słuchaj, z kolegami chodziliśmy nad stawy w Markach bawić się, ryby łowić i tam zjadaliśmy kłaczka tych roślin - mówiąc, chwyciłem i wyrwałem z wody lodygę.

Nawet mi smakowało, udało się na trochę oszukać głód. Jurek też wyglądał na zadowolonego. Wstał i kopnął coś na ziemi.

- Bronek, kamienie tu so.

Przeszukaliśmy trawę i w okolicy znaleźliśmy ich kilka. Uderzając jeden o drugi, zaczęliśmy sprawdzać, które dadzą iskrę. Po kilku próbach dobrałem odpowiednie sztuki.

- Mam krzemień - oznajmiłem - daje niezłe iskry. - I na potwierdzenie uderzyłem jednym o drugi.

Jurek, gdy to zobaczył, narwał poźółkłej trawy i oderwał kilka pasków kory z młodej brzoźki. Ułożył stosik, a ja krzesalem.

Natychmiast poczułem ekscytację i nadzieję. Trochę jednak to trwało, zanim uzyskałem pożądany efekt. Wreszcie zatliła się rozpałka. Jurek dmuchał, a ja szybko ułożyłem stosik z patyków. Mieliśmy ognisko.

Niestety, jak na złość nigdzie nie było widać żadnej wiewiórki. Próbowaliśmy trafić kamieniem jakiegoś ptaka, ale bez powodzenia. Nawet młode kurki wodne nam uciekły. Zebraliśmy suchych gałęzi z postanowieniem podsycania ognia przez całą noc. Trzeba przyznać, że byliśmy z siebie dumni.

Nasze plany pokrzyżowała pogoda. O ile do tej pory było ciepło, tak teraz nagle zaczął wiać chłodny wiatr, nabiegły skądś granatowe chmury i lunęło deszczem. Ulewa trwała krótko, ale była porządna. Na szczęście humor nam dopisywał i postanowiliśmy ruszyć w dalszą drogę. Nawet gdy zaczęło się ściemniać, nie przerywaliśmy marszu.

Bór w nocy wyglądał trochę strasznie. Niektóre drzewa przybierały w bladym księżycowym świetle niepokojących kształtów.

- Zobacz - powiedziałem - ten dąb, czy co to tam innego, tak wygląda, jakby jakieś wielkie łapska miał i szykował się, by nas zagarnąć.

- To tylko wiatr i poświata, Dzidek. Ty się ludzi bój, a w przyrodę wierz, ona nas uratuje.

- Jak to uratuje?

- Da schronienie i wyżywi. Zobaczysz, we dwóch damy sobie radę - mówił to z taką pewnością, że nawet przez chwilę nie miałem wątpliwości. - Ze wszystkim. - W mroku nocy dostrzegłem biel wyszczerzonych zębów, zapewne w uśmiechu. Szturchnął mnie w bok. - Wsłuchuj się w dźwięki, w ten spokój i powtarzalność. Jeśli będzie nadchodziło zagrożenie, knieja cię

ostrzeże.

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, ale postanowiłem nie dopytywać, tylko zrobić, jak mówił. Zauważyłem jeszcze jedno: że Jurek zaczął mówić wyraźniej; o to też się nie zapytałem.

- Chodźmy gęsiego, będzie po ciemku bezpieczniej - stwierdził. - Ja poprowadzę - dodał i mnie wyminął.

Szliśmy tak sobie kawałek, a tu nagle Jurek zniknął mi z oczu. Wpadł z hukiem do dziury przykrytej sosnowymi gałęziami. Usłyszałem hurgot, jakby przewracały się blaszane naczynia.

- O w mordę! - wystękał z dołu.

- Cały jesteś? - zapytałem zdenerwowany.

- Cały, cały. Trochę potłuczony, ale cały - odpowiedział bezzwłocznie. - Włóż tu, Bronek.

Wsunąłem się za nim. Mrocznie tu było, a silny żywiczny zapach wdarł się w moje nozdrza. W sporym zagłębieniu leżało pełno puszek różnej wielkości.

- To schowek zbieraczy żywicy - potwierdził moje podejrzenia Jurek, rozcierając rękoma obolałą nogę.

- A po co oni w ogóle ją zbierają? - zapytałem.

- A bo ja wiem? - odrzekł, wzruszając ramionami. - Przenocujemy tu - oznajmił. - O, i jakieś puszki weźmiemy.

- Pewnie że tak. Przydadzą się - stwierdziłem.

Wymościliśmy sobie legowisko, wykorzystując do tego celu snop słomy leżący w rogu dołka. Dawno nie było mi tak wygodnie. Nic mnie nie uwierało, a nad ranem nie poczułem chłodu. Wspaniale spało mi się w eterycznych zapachach, którymi przesiąkło nasze przytulisko.

Wczesnym rankiem zerwałem się na równe nogi. Las brzmiał inaczej. Nasłuchiwałem przez chwilę, potrząsając ramieniem kolegi. Z oddali dobiegało dziwne szurgotanie.

- Chyba ktoś tu idzie. Pyskajmy - szepnąłem.

Złapaliśmy po puszcze i wyleźliśmy na górę. Ku naszemu zdziwieniu zewsząd otaczała nas gęsta mgła. Po omacku oddaliliśmy się od nocnego schronienia. Leżąc, wsłuchiwałem się w dźwięki. Szuranie i chrząknięcia przerodziły się w głośny kwik, gdy coś wpadło do opuszczonego przez nas dołka. Zabrzęczały hałaśliwie puszki.

- To dziki - stwierdził Jurek. - Byśmy się posrali ze strachu, jakby na łeb nam zleciały. - Mówiąc, chichotał cicho.

Z rozgardiaszu wywnioskowałem, że dzik wylazł na górę i stadko odeszło w głąb matecznika.

- Co robimy? - zapytał mnie Jurek.

Stałem obok dużego drzewa i pomacałem je rękoma.

- Jeśli mech rośnie od południa, to tam jest wschód - pokazałem kierunek.

- No to komu w drogę temu czas.

Maszerowaliśmy do późnego popołudnia, kiedy mgła zaczęła się rozchodzić. Okolica wydawała nam się dziwnie znajoma i ku naszemu zaskoczeniu doszliśmy do miejsca, w którym rozpalaliśmy ognisko.

- To przez tę wodę taka mgła była - stwierdził Jurek. - Musimy stąd za dnia odejść jak najdalej.

- Dobra, Jurek, ale najpierw zjedzmy trochę trzciny.

*

Kilka dni przemierzaliśmy ten las, parę razy w nim błędząc. Jurek okazał się znawcą w wyszukiwaniu pożywienia. Ufałem mu i zjadałem rośliny, które wynajdywał. Coraz częściej trafiały nam się grzyby, spożywałem je na surowo. Raz czy dwa, nabierając

wody z kałuży, ugotowaliśmy sobie „grzybową”. Wsuwaliśmy liście drzew i szczaw, i mlecz oraz ogryzaliśmy młode drzewka. Zajadaliśmy larwy wydłubane spod kory, chrabąszcze i oczywiście mrówki. Taką mieliśmy dietę. Czasem bolał mnie brzuch, ale sam już nie wiem, czy od tego, co zjadłem, czy z głodu.

Na nocleg wyszukiwaliśmy zagłębienia obrośnięte mchem. Zdarzało się, że dodatkowo mościliśmy barłóg trawą. Z gałęzi drzew, które udało nam się obłamać, robiliśmy daszek chroniący nas przed drobnym deszczem. Przed ulewą to już niestety ochrony nie stanowił. Raz dobrze nas zmoczyło, w środku nocy wyskoczyliśmy z kryjówki, bo nam ją zalało. Dygotaliśmy z zimna do rana. Następne spanie mieliśmy na rozłożystym drzewie, ale nie było mi wygodnie. Cały czas bałem się, że spadnę. Na szczęście pogoda się poprawiła i mogliśmy znów spać na ziemi. Trafiliśmy na wywrócone drzewo i Jurek zaproponował, żeby pogłębić dołek pod karpą. Wygrzebaliśmy piach spod korzeni i wymościliśmy sobie takie leże, że mucha nie siada. Normalnie żal nam było stamtąd odchodzić.

Pokonując leśne ostępy, wydało mi się, że słyszę płacz dziecka. Stanęliśmy zaskoczeni, nasłuchując.

- To szarak płacze - powiedział podekscytowany Jurek - szukamy go!

Kiedy zbliżyliśmy się do miejsca, z którego do naszych uszu dochodziły jego jęki, ucichł.

Jurek znalazł zająca uwięzionego we wnykach i dobił kamieniem.

- Zabieramy go i w nogi, może tu przyjąć ten, co założył pułapkę - wypowiadając te słowa, czujnie się rozglądał.

Odeszliśmy jakiś kilometr, a ja znalazłem dobre miejsce na ognisko.

- Tu rozpalamy i upieczemy sobie obiad - wskazałem. Byłem podekscytowany, a ślinka ciekła mi na samą myśl o jedzeniu.

- Bronek, za blisko, poza tym mięso musi skruszeć.

Trochę zaskoczony stwierdzeniem kolegi, musiałem jednak z nim się zgodzić.

- Faktycznie, ojciec czasem przynosił zająca, to wieszał go najpierw w komórcie - potwierdziłem.

- Masz, teraz ty go ponieś - powiedział Jurek, wręczając mi zwierzaka.

Źle mi się niosło uszatego pod pachą. Co chwila mi się wyslizgiwał albo jego tylne nogi uderzały mnie w udo. W końcu zarzuciłem go na ramię, trzymając za słuchy.

Od razu lepiej - pomyślałem.

- Jurek, a właściwie to czemu nie upiec go razem z futrem?

Popatrzył na mnie z politowaniem.

- A jak twój ojciec przynosił zająca, to co matka robiła?

- Gotowała albo pasztet przyrządzała - odpowiedziałem, przypominając sobie zapachy kuchenne z mojego domu.

- I myślisz, że razem z futrem? - Parsknął śmiechem.

- Pewno, że nie - oburzyłem się. - No co się cieszysz? Ja się garami nie zajmowałem.

- Musimy go oskórować i wypruć flaczki, bo mięso będzie śmierdziało!

- A jak to zrobimy? - zapytałem z dziecięcą naiwnością w głosie.

- No właśnie, przydałby się jakiś ostry kamień, bo patykiem będzie raczej trudno. Skórę natniemy na brzuchu, a potem już jakoś pójdzie. A rozprujemy go od tyłka i wyciągniemy wnętrzności.

Nagle zając drgnął mi na plecach i skokami odbił się ode

mnie. Poczulem tylko, jak jego uszy wyslizgują się z mojej prawej dłoni.

- O Jezu... Prysnał! - wydukałem całkowicie zaskoczony.

Obydwaj odprowadziliśmy wzrokiem oddalający się wielkimi susami nasz niedoszły posiłek. Dłuższą chwilę staliśmy, milcząc. Poczucie winy wypełniło mnie całkowicie. Bałem się odezwać.

- I masz babo placek - powiedział Jurek. A po kilku sekundach dodał: - Jeśli czegoś nie zrobisz sam, nie będzie dobrze zrobione.

- Przepraszam - wydusiłem z siebie.

- Bronek, to jest nasza wina, nie tylko twoja. Ty źle trzymałeś, ale ja źle mu przyłożyłem. Widocznie był tylko ogłuszony. - Machnął ręką i odwrócił się, ruszając przed siebie. Jednak coś go gryzło, bo po chwili milczenia znów się odezwał. - Nie czułeś, że się rusza?

- Trzeba było nie opowiadać, jak go będziesz rozpruwał. Usłyszał i dlatego nawiał - odpowiedziałem, już oswojony ze stratą.

Jurek splunął przez zęby na ziemię.

- No to wracamy do wcinania mrówek. O! Tam są - wskazał na kopiec.

Jakoś nie miałem ochoty, on najwyraźniej też, obaj skwapliwie ominęliśmy mrowisko.

Idąc, natrafiliśmy na krzaki dzikich jeżyn. Owoce w większości były dojrzałe, więc nie omieszkaliśmy się pożywić. Nie mogłem się najeść, myśl o pieczonym mięsie nie odstępowała mnie ani na chwilę. Czym więcej ich zjadałem, tym bardziej stawałem się głodny. Mozolnie przedzieraliśmy się przez drapiące pędy, aż doszliśmy do pagórka w całości obrośniętego tymi krzewami. Nie zważając na kolce wbijające się w nogawki i odrapujące nogi, brnęliśmy w milczeniu przed siebie. Za

wzgórzem drzewa rzedyły – jak się okazało, wreszcie dotarliśmy na skraj lasu. W oddali po prawej słyhać było szczekające psy i wiedzieliśmy, że tam nie wolno nam iść. Przed nami rozciągało się pole obsadzone jakimiś roślinami.

- Wiesz, co to rośnie? – zapytałem Jurka.

- Chyba karpień.

- A to jadalne?

- No pewnie! – Jurek uniósł się i rozejrzał. – Nikogo nie widać, głodny jestem cholera. – Mówiąc to, wypęzł na pole i zaczął wrywać bulwy z ziemi.

Poszedłem w jego ślady. Czołgaliśmy się wzdłuż zagonu, zabierając co drugą roślinę. Kiedy byliśmy nimi obładowani, wróciliśmy między drzewa.

Oczyściłem bulwę z ziemi i zacząłem chrupać.

- To brukiew jest – oznajmiłem.

- U nas gadają na to karpień. Przed wojną rodzice karmili tym bydło, a ostatnio i my jedliśmy – mówił z pełnymi ustami.

- Ja też jadłem, znam ten wygląd i ostry smak, ale jakoś nie widziałem, jak rośnie – powiedziałem.

Najedzeni zaczęliśmy się rozglądać wokół. Po lewej stronie widoczny był szpaler drzew zmierzający w kierunku wschodnim.

- Tam płynie rzeka – oznajmił Jurek. – Pójdziemy jej brzegiem, to i trafimy na jaki bród.

- Dobra, ale czekamy do wieczora, bo na tych łąkach będziemy widoczni z daleka – wskazałem na szeroki pas trawy oddzielający nas od nadbrzeżnych chaszczy.

Kiedy się ściemniło, podążyliśmy w wyznaczonym kierunku. Dwie godziny zajęło nam dojście do krzaków. Okazało się, że faktycznie płynęła tu rzeka, szeroka na kilka metrów o dość wartkim nurcie. Szliśmy wzdłuż niej, budząc co jakiś czas

nocujące tu ptaki. W pewnym momencie Jurek nadepnął na coś, co z furkotem wyskoczyło spod jego nóg wprost na mnie. Złapałem za łebek i natychmiast ukręciłem. Była to dzika kaczka.

- Ale będzie wyżerka - powiedziałem uszczęśliwiony. - Tylko tu wszystko mokre, jak rozpalimy ogień?

- Jak dojdziemy do suchszego miejsca, to wtedy będziemy kombinować. Na pewno nie żyje?

Dla pewności zakręciłem ptasią główką.

- Bez dwóch zdań - powiedziałem pewnie. - Kiedyś z chłopakami buchnęliśmy chłopu kurę - opowiadałem. - Oblepiliśmy ją gliną i piekliśmy w ognisku ze dwie godziny. Nie trzeba było jej skubać, wszystkie pióra same odeszły.

- To szukamy gliny.

Udało nam się ją znaleźć.

- I co, tak po prostu okleimy ptaka gliną? - dopytywał się Jurek.

- Trzeba wygnieść dwa spore placki, żeby na całą kaczkę starczyło. Ale na to mamy czas. Ty szykuj ognisko.

- Tak w ogień ją wrzucimy?

- Nie, potrzebujemy dużo żaru.

- Bronek, to mów tak od razu. Musimy dogodne miejsce na palenisko wybrać i tak je przygotować, aby z daleka nie było go widać.

- To wszystko nic. Trzeba z niej flaki wypruć.

- Dasz radę, z kaczuszką będzie łatwiej niż z zającem - zakończył z przekąsem.

- Jak byś mu porządnie przyłożył po łbie, to też byśmy go upiekli - powiedziałem z wyrzutem.

- Z futerkiem, co? - popchnął mnie, trącając barkiem w ramię, śmiejąc się jednocześnie.

Zdenerwowany spojrzałem na niego, ale w jego twarzy nie zobaczyłem złości. Promieniał radością.

- Zaczę od kuperka - stwierdziłem.

Nie bez trudności świeżo ułamaną gałęzią rozharatałem ptaka na tyle, że byłem w stanie wyciągnąć z niego wnętrzności. Na koniec opłukałem kaczkę w rzece. Jurek w międzyczasie rozpał ognisko.

- Grube te naleśniki mają być? - pytał, babrząc się w glinie.

- A ja wiem? - Po chwili zastanowienia dodałem: - Zrób takie na pół palca - wyciągnąłem w górę palec wskazujący.

Położyłem wypatroszoną kaczkę na placku. Jurek przykrył ją drugim. Dokładnie oblepione zawiniątko czekało obok płomienia pożerającego gałęzie. Kiedy uznaliśmy, że mamy wystarczającą ilość żaru, rozgrzebaliśmy ognisko, umieszczając w nim przyszły posiłek.

Siedziałem, wpatrując się w płomyki igrające na grubych gałęziach. Co pewien czas w górę wystrzeliwało kilka iskier. Dobrze, że byliśmy w gęstych zaroślach, które zabezpieczały nas przed wzrokiem niepowołanych osób. Zdrzemnąłem się w oczekiwaniu na pieczyste. Minęły pewnie ze trzy godziny, zanim zdecydowaliśmy się na wyjęcie „ceramicznej” kuli z paleniska. Jurek strzaskał kamieniem skorupkę. Przewspaniały zapach wydobył się ze środka. Kawałki wypalanej gliny odeszły od kaczki wraz z piórami. Mięso smakowało wyśmienicie, nawet delikatny „aromat” spalonych piór nie był w stanie popsuć mi przyjemności.

- Pychota - wyszeptał Jurek, rozcierając wierzchem dłoni ciekącą po brodzie strużkę tłuszczu. - Żeby tak jeszcze mieć sól i kromkę chleba, byłoby cudnie - rozmarzył się. - No, miałeś świetny pomysł, a w ogóle to ty ją złapałeś. Dzięki, Bronek -

powiedział, przeciągając się zamasyście.

Poczułem dumę, ale co najważniejsze, pełny żołądek. Do dziś pamiętam smak tej kaczki.

Nazajutrz doszliśmy do szerokiej łąki pokrytej krowimi plackami. Rzeka w tym miejscu zakręcała i była trochę szersza. Niedaleko widoczne były zabudowania wsi. Podejrzewaliśmy, że przed nami jest bród. Poczekaliśmy do wieczora i rozebrani przystąpiliśmy do forsowania przeszkody. Woda sięgała nam najwyżej do piersi. Swoje rzeczy przeniosłem, trzymając je nad głową związane w tłumok. Ubierając się, obłany poświatą księżyca, zauważyłem, jaki jestem chudy. Wcześniej nie zwracałem na to uwagi. Jurek wyglądał podobnie, jemu też żebra sterczały spod skóry.

- Hii hii - zaśmiałem się, naciągając koszulę - ale z ciebie kościotrup.

- Ty też nie lepszy, nogi masz jak patyki - odparował Jurek.

Na drugim brzegu przed nami cały teren obsadzony był drzewkami owocowymi. Pierwszy raz w życiu widziałem tyle grusz, jabłoni i śliw w jednym miejscu - były ich całe setki. Drzewa uginały się od owoców. Rwaliśmy, zajadając się nimi, upychając je za pazuchę i po kieszeniach. Sady ciągnęły się kilometrami, na szczęście pooddzielane były zaroślami, pod osłoną których mogliśmy przeczekać dzień. Osady ludzkie omijaliśmy tradycyjnie z daleka. Zauważyliśmy, że w dużych sadach znajdują się małe szopy. Ludzie pracujący przy zbiorach tam zanosili owoce. Popołudniem podjeżdżały wozy konne, do których wynoszono ze środka skrzynki. Przy nich zbierali się wieczorem pracownicy, w większości ubrani w jednakowe kombinezony, i byli gdzieś odprowadzani przez cywilów, którzy najwyraźniej ich pilnowali.

Raz nocą podkradliśmy się do jednego z domków. Odchyliłem drewnianą okiennicę, w otworze za nią nie było szyby. Przez chwilę nasłuchiwałem, czy na pewno nie ma tam nikogo. Wgramoliłem się do środka prosto na stół, o mało nie zrzuciłem lampy. Zaraz za mną wlaźł Jurek.

- Ale tu ciemno - powiedział.

- Zamknij okiennicę.

Jurek wykonał moje polecenie. A ja namacałem pudełko zapalek leżące obok karbidówki. Zestawiłem lampkę pod stół, odkręciłem kurek i zapaliłem ulatniający się gaz. Rozejrzałem się po wnętrzu, stało tu dużo pustych skrzynek, ale także kilka wyładowanych śliwkami. Na podłodze z boku szerokiego wejścia duża waga. Na jednej ze ścian wisiały różne narzędzia. Jurek wydał pomruk zadowolenia. Spojrzałem na niego. Rozwinął właśnie leżące na brzegu stołu zawiniątko. W lnianej szmatce znalazł kawałek słoniny, pół bochenka czarnego chleba i kozik. Zaraz zabrał się za krojenie i zjedliśmy po porządnej kanapce. Nabraliśmy śliwek i przed świtem opuściliśmy budkę sadowniczą. Zapalki oczywiście trafiły do mojej kieszeni.

Najedzeni wędrowaliśmy z większą werwą. Wraz ze wstającym słońcem zaczęliśmy rozglądać się za schronieniem na dzień. Wybraliśmy chaszczę rosnące szerokim na kilka metrów szpalerem, dzielącym niejako sad na pół. Ucieszyliśmy się na widok leżących na ziemi orzechów laskowych. Zebraliśmy ich całe garście. Ukryci w gęstych krzewach leszczyny, wsłuchani w szczebiot ptaków, zasnęliśmy. Po jakimś czasie, gdy słońce było wysoko nad nami, przyjemnie pieszcząc nas swymi promieniami, zbudziły mnie odgłosy wydawane przez ludzi. Zbieracze wkładali owoce do koszy, które odnosili do sadowniczej budki. Przez dobrą godzinę obserwowałem pracujących, aż w końcu znowu się

zdrzemnąłem. W pewnym momencie Jurek szturchnął mnie łokciem w bok. Natychmiast otrzeźwiałem, spoglądając we wskazanym przez niego kierunku. W naszą stronę zbliżały się dwie osoby. Młoda kobieta w kwiecistej spódniczce i białej bluzce z jasnymi jak słoma warkoczami upiętymi wokół głowy szła dziarsko, śmiejąc się i mówiąc coś po niemiecku do swojego towarzysza. Mężczyzna idący za nią, ubrany w szary kombinezon, rzucał na boki uważne spojrzenia. Skryli się w krzakach nieopodal. Przyłgnęliśmy obydwaj płasko do ziemi.

Dziewczyna chichotała, cichutko mamrocząc przy tym niewyraźnie, mężczyzna pomrukiwał i cmokał. Uniosłem głowę, siedzieli bokiem do nas. Ona miała rozpiętą bluzkę, a on całował jej nagie piersi. Całą twarz miała w pąsach, roześmiana od ucha do ucha, i tarmosiła jego ciemne włosy. W pewnym momencie jej śmiech zastąpiły głośniejsze oddechy. Odsunęła lekko chłopca, zadzierając spódnicę do góry, obiema rękoma złapała go za głowę i wtuliła ją między swe uda. Oczy mało mi z orbit nie wyleciały, gębę miałem otwartą, bo Jurek palcem wskazującym przymknął mi ją, unosząc brodę do góry. Spojrzałem na kolegę, a ten skręcał się ze śmiechu.

Kobieta dziwnym głosem powiedziała:

- Komm, Schnella.

Mężczyzna wstał i ściągnął z siebie kombinezon. Ona zachichotała i przyciągnęła go do siebie. Pogmerał coś między nogami i leżąc na niej, zaczął poruszać gołym tyłkiem. Obydwoje pojękiwali, cały krzak rosnący nad nimi drżał od ich podskoków.

- On ją gwałci? - szepnąłem Jurkowi do ucha.

- Głupiś. On bierze, co ona mu daje - odpowiedział Jurek i natychmiast zakrył dłonią usta, by nie parsknąć ze śmiechu.

Zapatrzeni na figlującą ze sobą parę, nie zauważyliśmy tego,

co działo się za nami. Nagle zaszeleściły zarośla za moimi plecami, spojrzałem przez ramię i włosy stanęły mi dęba. Na wysokości oczu ujrzałem ślepie wilczura. Warknął cicho i przebiegł pomiędzy nami. Kiedy tylko znalazł się przy młodych ludziach, zaczął ujadać. Młodzieniec zerwał się, naciągając ubranie, a dziewczyna zapinała nerwowo guziki. Pies złapał zębami mężczyznę za rękę, warcząc. Kobieta krzyknęła na owczarka i ten natychmiast usiadł. Przez leszczykowy gąszcz przedarł się gruby mężczyzna w brunatnym uniformie. Zaczął niemiłosiernie wrzeszczeć. Chłopaka uderzył drewnianą pałką przez plecy i kopnął w zadek. Dziewczynę złapał za zwisające grube warkocze i szarpnął brutalnie.

- Vater! Nein! - darła się blondynka.

Siedzieliśmy z Jurkiem jak przysłowiowa mysz pod miotłą, nie wyglądając z naszego zagłębienia pod krzewem. Wilczur szczekał, ludzie krzyczeli, a my z przerażeniem oczekiwaliśmy na powrót psa. Na szczęście gruby szwab zajął się poganianiem młodych i nie zwrócił uwagi na podbiegającego w naszym kierunku czworonoga. Zdecydowanym głosem przywołał go do siebie, szcując na oblubieńca swej córki. Hałas, który robili, zaczął się powoli oddalać. Wokół zapanowała jako taka cisza, przerywana odległymi odgłosami wydawanymi przez zbieraczy owoców.

Rozejrzeliśmy się uważnie i bez słowa zaczęliśmy przedzierać się przez krzaki. Po półgodzinnym marszu chaszczce zaczęły się przeredzać. Chcąc nie chcąc, musieliśmy zalec na ich brzegu do wieczora. Milcząc, siedzieliśmy czujnie, nasłuchując dźwięków wydawanych przez sadowników. Pracujący ludzie wraz ze zbliżającym się wieczorem odeszli w nieznane. Kiedy tylko zapadł zmrok, ruszyliśmy przed siebie pomiędzy gruszami obsypanymi owocami. Zerwałem z drzewa dwie dorodne i trzymając je

w dłoniach, powiedziałem:

- Cycki miała jak te gruchy.

Jurek zachichotał i po chwili odezwał się poważnie:

- Bronek, cycki to gadają smarkacze, a faceci mówią biust.

Ona miała ładny biust.

Zrobiło mi się głupio, pewnie gdyby nie noc, Jurek zobaczyłby, jak poczerwieniały mi policzki. Zamierzałem z nim jeszcze porozmawiać o tym, cośmy tam widzieli, ale nie chcąc wyjść na szczeniaka, postanowiłem milczeć. Jurek też nie kontynuował rozmowy. Narwaliśmy gruszek i z jego marynarki zrobiliśmy tłumok wyładowany owocami. Rękawy zawiązałem na porządnym kiju i na zmianę nieśliśmy nasz zapas żywności.

Jeszcze przed świtem trafiliśmy na mieszany zagajnik.

- Bronek, tu się zatrzymamy.

- Cicho! Słuchaj - powiedziałem, zamierając.

Po raz pierwszy od lipca usłyszałem odległy pomruk od wschodu. Obydwaj wiedzieliśmy, co to znaczy. Zmierzaliśmy więc w dobrą stronę. Powoli wstało słońce, czerwień poranka przeszła w pomarańcz, kończąc noc. Okolica zabrzmiała dźwiękami wydawanymi przez ptaki. Przygotowaliśmy sobie spanie i ułożeni obok siebie przykryliśmy się gałęziami. Podekscytowani nie mogliśmy zasnąć, nasłuchując, czy odgłosy frontu się nie przybliżają. Niestety nic pewnego nie udało nam się wyłowić. W końcu zmęczenie zwyciężyło.

*

Dni mijały nam nie wiadomo kiedy, owoce dawno zjedliśmy do ostatniego ogryzka, głód zmuszał nas coraz częściej do podchodzenia pod wioski. Czasem udało nam się wykraść trochę

warzyw z przydomowego ogrodu, a raz natknęliśmy się na rosnące w szeregu krzewy winorośli. Winogrona, mimo swej kwaskowatości, bardzo nam smakowały.

Pewnej nocy zbliżyliśmy się do gospodarstwa na brzegu osady i po krótkim nasłuchu wleźliśmy do warzywnika. Wyrывая marchewki, usłyszałem jakiś dźwięk w pobliskich pokrzywach. Pomyślałem, że może pies nas podchodzi, zamieniłem się w słuch. Jurek też znieruchomiał. Po sekundzie wiedziałem już, co w trawie piszczy.

- To kura - szepnąłem.

- Pewno koktucha na dziko jajka wysiaduje - odpowiedział.

Wgramoliliśmy się na czworakach, pokrzywy parzyły jak cholera, ale znaleźliśmy kokoszkę siedzącą na jajkach. Chcieliśmy ją złapać, była jednak sprytniejsza i zwiąła, gdacząc przy tym niemiłosiernie. Znaleźliśmy siedem jaj.

Nagle zazgrzytały drzwi w domu, a w wejściu stanął mężczyzna w bieliźnie, w ręku trzymający jakby gruby kij.

- Wer da?! - krzyknął.

Zalegliśmy płasko, jedna z łodyg przylgnęła mi do twarzy, szczypiąc niemiłosiernie. Wtedy usłyszałem dziwny klekot, natychmiast skojarzyłem ten dźwięk z Ukraińcem repetującym karabin na naszym podwórzu w Markach. W mroku ujrzałem Jurkowe białka oczu, pomyślałem, że szwabisko też może zobaczyć. Zamknąłem oczy, koncentrując się na dźwiękach. Jurek chwycił mnie za rękę i mocno uściskał. Niemiec kroczył w naszą stronę, przechodząc obok, mruczał coś pod nosem.

Tyle żeśmy przeszli i teraz wpaść. O Matko Najświętsza, nie pozwól!

Szwab zawrócił, pokręcił się jeszcze po podwórzu i poszedł do domu. Oczekaliśmy krótką chwilę i daliśmy drapaką.

Wybiegliśmy pędem z ogrodu – tak prędko chyba nigdy dotąd nie gnałem. Wyprzedziłem Jurka o kilka metrów i nagle zacząłem się strasznie śmiać. Wprost nie mogłem się powstrzymać, zabrakło mi tchu i chichocząc nerwowo, stanąłem w miejscu. Mój towarzysz dogonił mnie i zaczął uciszać, ale ja nie panowałem nad tym. W końcu dostałem czkawki.

– Spokojnie, udało się. Oddychaj głęboko. No... głęboko.

– Widziałeś... yp... te jego... yp... kalesony...yp. On był zafajdany, bu ha ha ha... yp.

– Wypij jajko. Widziałem. I przestań, do cholery, bo nas psami poszczują.

Trzeba przyznać, że wiedział, jak mnie uspokoić. Psy podziały, momentalnie przestałem rechotać, czkanie jednak niestety dokuczało mi nadal. Pijąc kolejne jajko, uświadomiłem sobie, że nie zabrałem wyrwanych warzyw.

– O w dupę... yp, marchewki zostawiłem.

– Ja wziąłem. Masz – wręczył mi jajo – tego wypij pół, reszta moja.

– Bałem się...yp, czy nie zbuki... yp, ale smaczne.

– Bronek, cicho! – powiedział i nerwowo kręcił głową, nasłuchując. – Psy spuścił! – warknął mi w ucho.

Gotowy na najgorsze, zacząłem rozglądać się za jakimś drągiem.

Jurek przyglądał mi się czujnie i po chwili orzekł:

– No, to czkawka ci przeszła. – I jak gdyby nigdy nic ruszył przed siebie.

– Takich numerów to ty mi nie rób! – odezwałem się z pretensją.

– Ale podziałało, ha ha – zaśmiał się cicho.

Idąc, usłyszeliśmy szum wody, przed nami znowu była rzeka,

jej nurt wydawał się wartki i stwierdziliśmy, że jest dość głęboka. Przez jakiś czas posuwaliśmy się wzdłuż niej, aż ujrzeliśmy drewnianą konstrukcję łączącą oba brzegi.

- Jurek, to może mostem przejdziemy?

- Z daleka będziemy widoczni, a brudni jesteście i nasze ubrania to prawie łachmany - mówił zamyślony. - Jak nas kto obaczy, to od razu pomyśli, że uciekinierzy - stwierdził.

- To ściągamy łachy, kąpiemy się i przemaszerujemy w gaciach, chyba że pod spodem jakoś damy radę na drugą stronę przepłynąć.

- Zapalek mamy jeszcze pięć, szkoda żeby się zamoczyły.

- To co, spróbujemy górą? - zapytałem.

- Tak. Ale najpierw idziemy się wykąpać - powiedział zdecydowanie.

Rozebraliśmy się i zaczęliśmy myć, chlapaliśmy się i śmialiśmy. Dzień był pogodny, słońce stało wysoko, mocno przygrzewając. Rozochoceni kąpielą odbiegliśmy od przejazdu drogowego i skakaliśmy, bryzgając wodą naokoło. Dlatego nie usłyszeliśmy nadjeżdżających samochodów.

Kolumna wojskowych aut wjechała na most. Osłupiałem, nogi odmówiły mi posłuszeństwa i stałem jak wryty w rzece po pas.

- Machaj do nich! - krzyknął równie zaskoczony Jurek. Uśmiechnięty od ucha do ucha, miotał dłońmi na boki do niemieckich żołnierzy.

Natychmiast poszedłem w jego ślady. Siedzący na ciężarówkach kiwali do nas dłońmi. Byli podobnie umundurowani jak żołnierze, których podglądałem w lesie pod Markami. Mieli na sobie odzież w różnokolorowe ciapki. Odniosłem wrażenie, że spod hełmów i czapek wyglądają na nas twarze młodych chłopaków. Kawalkada kilkunastu samochodów zniknęła tak samo

nagle, jak się pojawiła. Biegiem zebraliśmy swoje rzeczy i ukryliśmy się w pobliskich chaszczach.

- Ale my durnie jesteście - stwierdził Jurek. - Mało brakowało.

- Już myślałem, że staną. Dobrze, żeś kazał machać - mówiłem, dysząc, a serce waliło mi w piersi, jakby chciało wyskoczyć.

Przez następne godziny obserwowaliśmy przeprawę. Do wieczora przejechało po niej kilka chłopskich wozów. Kiedy się ściemniło, ruszyliśmy w jej kierunku. Z duszą na ramieniu przechodziłem po moście. Gdy tylko znaleźliśmy się po drugiej stronie rzeki, skręciliśmy w kierunku szarozielonej ściany boru.

Noce i ranki robiły się coraz chłodniejsze. Śpiąc w lesie, tuliliśmy się do siebie, po zmroku nie rozpalaliśmy ognisk. Naszym pożywieniem znów stało się leśne runo. Teraz znajdowaliśmy dużo grzybów: borowiki, podgrzybki, koźlarze i wielkie kanie. Zdarzyło się parę razy, że te największe przypiekaliśmy w żarze, ale na ogół wcinaliśmy je na surowo. Niekiedy odbijaliśmy w kierunku wiejskich odgłosów, szukając na skraju lasu pola z czymś jadalnym. Brukiew, rzepa czy buraki były dla nas rarytasem. Patrząc na Jurka, zastanawiałem się, czy wyglądam tak samo jak on. Cały zasypany był czyrakami. Ja też je miałem, ale chyba trochę mniej. Strasznie swędziało to cholerstwo, niemal nieprzerwanie się drapałem. Raz jeden z nich mi pękł, ze dwa dni wcześniej bolał mnie niemiłosiernie. Przestał zaraz po wypłynięciu ropy. Poczułem ulgę i znów mogłem normalnie chodzić. Niestety buty w końcu całkiem mi się rozpadły i dalej zasuwałem już bosy. Moje ubranie, miejscami porwane, wisiało na mnie jak na kołku. Jurkowe też było całe w strzępach.

Pewnego dnia dotarliśmy do rozległego kartofliska; widać

było na nim uwijających się ludzi. Gdzieś palili ogniska. Ukryci czekaliśmy do wieczora. Kiedy się dobrze ściemniło, ruszyliśmy na pole. Idąc, rozgrzebaliśmy zasypany popiół i ku naszej radości nosy nas nie zawiodły – w żarze piekły się kartofle. Ze dwa zjedliśmy na miejscu, resztę zabraliśmy ze sobą. Zajrzeliśmy do kilku napotkanych palenisk, wybierając z nich ziemniaki. Noc była jasna i mieliśmy obawy, że ktoś nas zauważy. Zanim zaczęło świtać, dotarliśmy na kraniec ziemniaczanego pola. Skryliśmy się w gęstej brzezynie. Tutaj trawa rosła po kolana, kilka kroków wystarczyło, by rosa przesiąkła przez resztki moich spodni. Było już dobrze po świtaniu, gdy wreszcie usiedliśmy na zwałonym drzewie, pośrodku niewielkiej polany. Wokół gęsto rosły białe brzozy. Na lekko powiewającym wietrze falowały gałązki oblepione różnokolorowymi liśćmi. Od czasu do czasu kilka z nich wiatr roznosił po okolicy.

Zajadając chłodne już kartofle, obserwowałem rozświetlony słońcem błękit nieba niezmacony ani jedną chmurką. Naraz usłyszałem donośny klangor, automatycznie odwróciłem głowę w kierunku, z którego docierały pokrzykiwania. W tym momencie nad nami pojawił się hałaśliwy klucz kilkudziesięciu wysmukłych żurawi. Leciały nisko, majestatycznie, dokładnie widziałem ich szare brzuchy. Moją uwagę przykuł rytm tego lotu, falujący kształt strzały i zamiana prowadzących stado. Dwa ptaki z końca przeleciały na jego środek, tworząc szpic przecinający powietrze. Niesamowite jest obserwowanie podróżników zmierzających do odległego celu, pomimo wojny, na przekór wszelkim trudnościom. Czy dotrą? Czy przetrwają podróż tułaczą?

- Trochę jak my – powiedziałem.
- One przed mrozem do ciepłych krajów, a my do domu.
- A właściwie to gdzie ich dom?

- Chyba tam, gdzie są - odpowiedział Jurek. - Lęgną się tutaj, a tam lecą na zimę.

- No to one tutejsze - stwierdziłem. - Daleko lecą? - zapytałem po chwili milczenia.

- Pewno do Afryki.

- Tam Hitlera już nie ma.

- Niedługo i stąd go pogonią. Wróca, to już będzie po wojnie - głową wykonał ruch, wskazując niebo, gdzie jeszcze przed chwilą widzieliśmy smukłe ptaki. - Na nie nikt przynajmniej po drodze nie poluje.

- A Murzyni? - zapytałem.

- Toć mówię, że po drodze. Murzyni to na miejscu.

- Myślisz, że oni je jedzą?

- Pewnikiem tak. Kiedyś bocian, co to u nas na domu gniazduje, przyleciał przesyty strzałą.

- Łżesz!

- Jak Boga kocham - Jurek uderzył się pięścią w pierś, aż zahuczało - że prawdę mówię! Ojciec wlaźł po drabinie i mu tę strzałę wyciągnął. Więc myślę, że jak polują na boćki, to i na żurawie.

- One mają dalej niż my - stwierdziłem, myśląc o drodze, jaką musieliśmy jeszcze przebyć.

- Aha. My już jesteśmy niedaleko. Jeszcze tydzień, może dwa i... - Zamilkł.

- Jurek, teraz musimy być ostrożni, żeby przez jakąś głupotę nie wpaść w tarapaty - powiedziałem poważnie, aż sam zdziwiłem się tonem swego głosu.

Spojrzał na mnie, przytakując kiwnięciem głowy.

*

Po kilku kolejnych dniach marszu drogę na wschód po raz kolejny zagroziła nam rzeka. Dobre dwie godziny szliśmy jej skrajem, aż w końcu zatrzymaliśmy się przy rozlewisku.

- Bronek, dalej nie idziemy. Tu pokonamy ją wpław.

- Wiesz, ja pływam... - zamilkłem na kilka sekund. - Ale nie do końca pewnie się czuję.

- Nie mamy wyjścia, ja pierwszy - powiedział i wsunął się do akwenu.

Początkowo szedł, a potem zaczął płynąć, w połowie rzeki znowu stanął na nogach. Odwrócił się do mnie.

- No dawaj, tu jest łacha - mówił, kiwając dłonią.

Wszedłem do wody i dopłynąłem do niego. Kawałek brnęliśmy zanurzeni po pas, a potem grunt pod nogami się skończył. Jurek zniknął pod wodą, za chwilę wynurzył głowę i płynnie posuwał się przed siebie. Widziałem, jak walczył z silnym prądem rzeki. Nie zastanawiając się dłużej, ruszyłem za nim. Zaczęło mnie mocno znosić, wszystkie siły włożyłem w pokonanie nurtu. Zobaczyłem Jurka wychodzącego na brzeg, odwrócił się i popatrzył na mnie. Ruszył wzdłuż rzeki, tam gdzie mnie niosło. Kiedy już byłem blisko niego, ulżyło mi i myślałem, że najgorsze za mną, lecz nagle zakręcił mną wir. Wciągnęło mnie pod powierzchnię, wpadłem w panikę i zachłysnąłem się. W wyobraźni ujrzałem rodziców i wydarzenia z mego życia przeleciały mi przez głowę. Jurek wskoczył do wody i wyciągnął mnie z niej. Kasłałem i prychałem, a on klepał mnie po plecach.

- Dzięki... gdyby nie ty... to utopiłbym się w cholere.

Jurek uśmiechnięty powiedział:

- Bronek, będziemy mieli co w domu opowiadać.

- Całe życie... stało mi przed oczami. Już myślałem... że będzie po mnie.

- Na razie krótkie je miałeś. Zobacysz, jeszcze pożyjesz. Już jesteśmy bliżej niż dalej - przerwał. - No co, przynajmniej nie będziesz spragniony - dodał radośnie. - Chcesz odpocząć czy idziemy? - zapytał troskliwie.

- Chodźmy, teraz mi chłodno. W marszu się rozgrzeję.

Przed nami znowu rozpościerały się lasy. Zagłębiliśmy się w nie, dalej brnąc przed siebie. Szliśmy olszyną, która w pewnym momencie przerzedziła się, a ziemia gęsto zarośnięta była przez wrzosa. Widok i zapach unoszący się nad krzewami był bardzo przyjemny. Normalnie tylko się grzotnąć na ziemię. Po kilku krokach odeszła mi ochota na rozciągnięcie gnatów. Bose stopy zagłębiały się w mokrym gruncie jak w gąbce. Naszemu marszowi towarzyszył charakterystyczny dźwięk chlapiących nóg. Udało mi się odnaleźć taką jakby groblę, na której było mniej wody, ale za to gęsto porośniętą krzakami. Przedzieraliśmy się z hałasem. Nagle znalazłem się po drugiej stronie komyszy i stanąłem zaskoczony. W odległości pięciu metrów stało dziwne zwierzę, wpatrując się we mnie. Wielki, niemal koński łeb, z dużymi oczyma. Serce mi załomotało, choć nie byłem przecież taki strachliwy. Zaraz za mną pojawił się Jurek.

- No wreszcie - wystękał, wpadając na moje plecy. - Bronek, co tak stoisz? - powiedział poirytowany. - Rusz się, bo nie wyleżę.

- Na drzewo - wydałem polecenie szeptem.

Jurek, nie rozglądając się, wskoczył na rosnącą w pobliżu topolę. Ja wdrapałem się zaraz za nim.

- Co się stało? - pytał. - Co to? - dodał, wskazując głową w dół.

- Nie wiem, jakieś wielkie bydlę gapiło się na mnie - odpowiedziałem.

W tym czasie zwierzę podbiegło do drzewa i zadzierając łeb,

łypało na nas okiem, wydając z siebie pomruki. Jego szare futro w cieniu, jakie dawała osika, zlewało się z podłożem. Zaczął ocierać się o pień. Topola okazała się nie najlepszym wyborem – cała się trzęsła. Jurek złapał za gałąź, która z trzaskiem została w jego ręku. Zobaczyłem, jak traci równowagę i przechyla się na plecy. W ostatniej chwili chwyciłem go za drugą rękę. Z jego twarzy zniknął wyraz zaskoczenia pomieszany ze strachem. Odetchnął z ulgą.

- O włos – stwierdził. Rękawem prawej ręki przetarł spocone czoło. – Co to za cholerstwo? Patrz, położyło się i pogryza korę.

- Skubaniec zeżre osikę i zlecimy na pysk – stwierdziłem z wisielczym humorem.

Jurek cisnął na dół ułamany konar, to nie odstraszyło naszego prześladowcy. Z przyjemnością zjadł sercowate listki. Zaczęliśmy pokrzykiwać, huczeć, buczeć i uderzać dłońmi w drzewo. Nie zrobiło to na stworzeniu najmniejszego wrażenia. Zdawało mi się wręcz, że ułożyło się wygodniej i z większym zaangażowaniem zaczęło gryźć pień.

- Czego on od nas chce? – powiedział Jurek podenerwowanym głosem. – Nie dość, że przed ludźmi trzeba uciekać, to nawet taki cudak na nas poluje – mówił jak na niego dziwnie płaczkliwie.

Chciałem przyjrzeć się koledze, żeby stwierdzić, czy żartuje, czy się podłamał. Nie mogłem jednak tego zrobić, bo strasznie zaczęło kręcić mi w nosie i w końcu kichnąłem zamasyście. Zwierzę poderwało się przerażone i zniknęło w krzakach. Moją uwagę przyciągnęły długie nogi spłoszonego stwora.

- To łoś był – stwierdził Jurek. – Wystraszyłeś się łośia? – pytał uśmiechnięty.

- Wielkie, ciekawskie bydle, kto wie, czy by nas nie poturbował – mówiłem, złączając z topoli.

Od tamtej pory podmokłe tereny obchodziliśmy, ale raczej bojąc się bagien niż zwierząt. Szliśmy teraz o wiele wolniej, można powiedzieć, że się wlekliśmy. Głód doskwierał nam coraz bardziej, często robiliśmy postoje. Noce były już zimne i zaczęliśmy szukać przytulniejszych miejsc do spania.

Pewnego wieczoru natknęliśmy się na dużą stertę siana. Bez chwili namysłu zakopaliśmy się w pachnącej suszonej trawie. To było spanie – ciepło i wygodnie. Rankiem obudziły nas dźwięki podjeżdżającej furmanki. Wygrzebaliśmy się z kopy. Stanęliśmy na wprost chłopa, który najwyraźniej przyjechał po siano. W oddali majaczyły chałupy kryte strzechą. Mężczyzna wyglądał na przerażonego.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział Jurek.

- Na wieki wieków – odpowiedział po chwili milczenia. – Kto wy? Żydzi?

- Nie, my Polacy. Niemcy nas w lipcu na roboty zabrali, ale uciekliśmy z transportu i wracamy do domu – powiedziałem.

- Do domu, to gdzie? – pytał, łypiąc nerwowo na boki.

- Ja jestem z Marek, a kolega z Zamojszczyzny – odpowiedziałem, dodając pytanie: – A gdzie to jesteśmy?

- W Puszczy Kampinoskiej.

- Nie macie to, gospodarzu, czego do jedzenia, dawno nic nie jedliśmy – odezwał się Jurek. – A na Warszawę to którą?

- W tamtą stronę – mówił roztrzęsiony chłopina, wyjmując z torby kawał chleba i długie pęto kiełbasy. – Ale do miasta się nie pchajcie. Powstanie było i Niemcy nabili narodu. Ruskie stoją po drugiej stronie Wisły i nie wiadomo, na co czekają – wytrajkotał. Ciemne włosy przyprószone siwizną wystawały spod naciągniętej na głowę futrzanej czapy. Wielki kartoflasty czerwony nos i szeroko rozstawione wytrzeszczone oczy przydawały mężczyźnie

mało roztropnego wyglądu.

Te gały tak wybałusza ze strachu – pomyślałem.

– Niech Bóg wynagrodzi – powiedział Jurek, przyjmując od mężczyzny jedzenie.

– A przez Wisłę można się przeprawić? – zapytałem.

– Tu w okolicy niebezpiecznie, Niemcy bili się z partyzantami, większość z nich stąd odeszła. Ale może uda wam się trafić na jakiś mały oddział, to wam pomogą. No i handlarze czasem przepływają, to w tamtą stronę – machnął ręką w kierunku wstającego słońca. – Jak będziecie szli na wschód, uważajcie na drogę modlińską. Niemcy często jeżdżą tamtędy – powiedział trochę spokojniejszym tonem.

– Panie gospodarzu, a nie moglibyśmy u was trochę odpocząć? – znów zadałem pytanie.

Pobladł, a jego nieogolona broda lekko zadrgała.

– To niemożliwe... – wystękał.

Pożałowałem pytania.

– Żandarmy co chwila przyjeżdżają kontrolować, czy nie ma kogo obcego we wsi – kontynuował. – O was powinienem zameldować. Ale nie bójcie się, nikomu nie powiem... Gdybyście wpadli w ich łapy, to mnie nie widzieliście – zakończył zdecydowanie.

– Pary z gęby nie puścimy – powiedziałem.

Chłop zawrócił siwego konia, strzelił batem i pognął w kierunku osady.

– Po coś się go pytał? Przecie widać, że tchórzem podszyty. Trząśł się jak galareta.

– Nie zawadziło spróbować – odpowiedziałem.

– I tak nam pomógł. Będzie śniadanie jak się patrzy. Poniuchaj, jak ta kiełbacha pachnie. – Podsunął mi pęto pod nos. –

I wiemy, gdzie jesteśmy.

- Idziemy - powiedziałem do Jurka. - Głodny jestem jak cholera.

W puszczy było wilgotno i chłodno, po wyjściu z przytulnego stogu szybko zmarzliśmy.

- Spróbujmy ogień rozpalić - powiedział Jurek.

- Upieczemy kiełbasę - stwierdziłem, zbierając podeschnięte patyki.

Zapałek już nie mieliśmy, ale przy pomocy niezawodnych kamieni udało się wykrzesać iskry, które po rozdmuchaniu w garści suchego siana buchnęły żwawym płomieniem. Jurek przełożył rozpałkę pod cienkie patyczki i po chwili mieliśmy ognisko. Podzielił pęto na cztery duże porcje. Nadzialiśmy je na grubsze badyle i choć strasznie chciało nam się jeść, obserwowaliśmy, jak się pieką. Kiedy tylko z jednego z moich kawałków zaczął kapać tłuszcz, zabrałem go znad ognia.

- Szkoda tłuszczu, ja już zjem - powiedziałem i odgryzłem kęs, poprawiając chlebem. To niezwykle uczucie! Jak człowiek jest do czegoś przyzwyczajony, to wydaje mu się byle jakie, a jak dawno nie jadł nic porządnego, to taka kiełbasa jest niesłychanym specjałem.

Siedzieliśmy w milczeniu, kontemplując tę niesamowicie przyjemną dla nas chwilę. Wzięło mnie na wspominki i przed oczyma stanęły obrazy chyba jeszcze sprzed wojny. Całą rodziną spędzaliśmy wesoło czas przy ognisku, piekąc chleb, ziemniaki. Skakaliśmy przez ogień i machaliśmy rozżarzonymi kijami. Śpiewaliśmy piosenki i słuchaliśmy opowieści taty o wojnie, a mamy o dawnych bohaterach.

Nagle padły strzały; nie pojedyncze, ale całe serie - wyrrywając mnie z zamyślenia. Pociski przeleciały nam nad

głowami i zadudniły o drzewa. Poderwaliśmy się od ogniska, czmychając w krzaki. Ukryłem się za dużym przewróconym konarem w kępie jałowców. Obok mnie nie było Jurka. Strzelanina jeszcze się wzmogła i usłyszałem niemieckie i polskie wrzaski. Nagle po mojej lewej stronie jęknął przeraźliwie człowiek. Przypomniałem sobie okrzyk trafionej kobiety uciekającej za nami z pociągu. Minęła chwila i odgłosy walki zaczęły się oddalać, aż nagle urwały się całkowicie. Leżałem w swojej kryjówce jeszcze jakiś czas. Wreszcie zdecydowałem się wyjść.

Chodziłem po lesie, najpierw nasłuchując, a potem cicho wołając swego przyjaciela.

- Jurek, Juruś, gdzie jesteś?

Odpowiadały mi tylko korony drzew delikatnym poszumem. Zaglądałem w kępy krzaków i zagłębienia - nigdzie go nie było. Zacząłem się bać, że to jego krzyk słyszałem, że pewnie Jurek dostał. Przecież nie zostawiłby mnie tu samego... A może go złapali Niemcy? Albo odszedł z partyzantami? Ale im powiedziałby o mnie, więc może tu wrócić. Tak rozmyślając, trafiłem na zdeptane przez kogoś nasze ognisko. Obok leżał drugi kawałek Jurkowej kiełbasy, którą w czasie, gdy rozpoczęła się zawierucha, jeszcze dopiekał. Włożyłem ją do kieszeni i rozejrzałem się za dużym drzewem. Nieopodal rósł spory dąb, na który się wdrapałem z postanowieniem poczekania na powrót przyjaciela.

Siedząc na drzewie, rozglądałem się uważnie. Szum opadających liści, pokrzykiwanie sójek, terkotanie srok i postukiwanie dzięcioła stanowiły jedyne dźwięki, jakie słyszałem. W jednej chwili zebrało mi się na płacz. Całe napięcie ostatnich tygodni teraz znalazło ujście. Ledwo się

powstrzymywałem, aby nie zacząć wyć. Rękawem rozmazałem na twarzy brud i łzy. Wreszcie ochłonąłem, oparłem się plecami o pień i siedząc okrakiem na grubym konarze, zasnąłem.

Obudziłem się, spadając z drzewa. Udało mi się złapać następnej gałęzi, nie uniknąłem jednak uderzenia o nią i wzbudzenia hałasu. Przeraziłem tym pasące się pod drzewem dwie sarny. Odskoczyły na boki.

- Tak jak my z Jurkiem - powiedziałem na głos. - Każdy w swoją stronę.

Było już dobrze po południu, można pokusić się o stwierdzenie, że zbliżał się wieczór. Zsunąłem się z dębu i obszedłem okolicę w poszukiwaniu jakichś śladów. Ale jedynym, co znalazłem, było kilka łusek karabinowych. Nagle coś za mną zaszeleściło i zachrobotowało wokół drzewa. Przeraziłem się, nie odskoczyłem jednak w bok. Zdałem sobie sprawę, że jest mi wszystko jedno. Wyprostowałem się i odwróciłem na pięcie. W pierwszej chwili nikogo nie zobaczyłem. Gdy jednak przyjrzałem się uważnie, ujrzałem dwie wiewiórki ganiające się wokół pnia. Zaraz potem zakończyły zabawę i przemknęły w inne miejsce.

Ustaliłem z przyzwyczajenia kierunek marszu i ruszyłem przed siebie. Odchodząc, powiedziałem głośno:

- Żegnaj, Jurek!

Wieczór w lesie zapadł szybko. Znalazłem sobie miejsce na nocleg. Nie przejmując się hałasem, ułamałem kilka gałęzi, moszcząc sobie legowisko. Następnie ułożyłem się do spoczynku. Przez jakiś czas nie mogłem zasnąć, przyzwyczajony do towarzystwa Jurka. Leżałem, wsłuchując się w nocne życie lasu. W oddali poszczekiwały wiejskie burki. Gdzie indziej pohukiwała sowa. Nie wiadomo, kiedy przyszedł sen, który szybko się

skończył. Obudził mnie przenikliwy ziąb. Wstałem wstrząsany przeszywającymi ciało dreszczami. Zacząłem się gimnastykować, robiłem przysiady i machałem rękoma oraz biegałem w miejscu. Ruszyłem przed siebie, ale wszedłem na jakieś mokradła, więc postanowiłem się cofnąć; wtedy zaczęło świtać.

Pasma białego mleka rozciągały się pomiędzy drzewami. Promienie wschodzącego słońca przenikały przez nie, tworząc wrażenie niesamowitego blasku. Poranna gra światła w wilgotnych żółto-czerwonych liściach i zielonych sosnowych igłach całkowicie mnie pochłonęła. Na moment zapomniałem o dokuczającym chłodzie.

Skorygowałem kierunek marszu i okrążyłem błota, wczłapałem się na pagórki i przez jakiś czas maszerowałem nimi. Wyjąłem z kieszeni Jurkową kielbasę i ją zjadłem; został mi jeszcze kawałek chleba, który na razie sobie zostawiłem. Zachciało mi się pić, zacząłem więc wyrywać wilgotne kępki mchu i wyciskałem je prosto do ust. Zaspokoiwszy jako tako pragnienie, kontynuowałem swój marsz.

Wszedłem na polanę, przed sobą zobaczyłem pozostałości po ludzkiej osadzie. W górę sterczały osmalone kominy. Poszedłem w ich kierunku. Nie ukrywałem się, jak jeszcze niedawno obydwaj z Jurkiem mieliśmy w zwyczaju. Podchodząc do resztek pierwszej zagrody, poczułem zapach spalenizny. Na drzewach przydomowego sadu znalazłem kilka jabłek. Zerwałem je wszystkie, zjadając na miejscu. W ogródku warzywnym rosły marchewki i rzepa – wyrwałem ich trochę i wziąłem ze sobą. Skierowałem się w stronę studni, opuściłem wiadro, nabierając wody i robiąc przy tym sporo hałasu. Wiadro było dziurawe i zanim dociągnąłem je do siebie, mniej więcej połowa wody wyleciała z niego. Wylałem ją do korytka przy cembrowinie.

Umyłem twarz, a następnie przyniesione warzywa. Potem jeszcze raz nabrałem wody, napiłem się jej.

- Smaczna - powiedziałem.

Odwróciłem się z postanowieniem spenetrowania osady.

Obok jednej ze spalonych chałup znalazłem pierzynę, zaciągnąłem ją w krzaki. Kilka metrów dalej ujrzałem spory tobołek. Rozwiązałem go i wysypałem na ziemię zawartość. Były to dziecięce rzeczy, różne ubranka - mniejsze i większe. Wygrzebałem ze sterty sweter, przymierzyłem. Był trochę na mnie za mały, to znaczy za krótkie miał rękawy i odrobinę był za ciasny. Ale uznałem, że jakoś się w niego wcisnę. Poszedłem do ogrodu, wyrywałem warzywa i po oczyszczeniu zapakowałem swoje zbiory do znaleźnego worka.

Noc była zimna, ale dzięki pierzynie nie zmarzłem. Rankiem pożywiłem się warzywami i kawałkiem darowanego chleba. Posiedziałem chwilę, patrząc z rozrzewnieniem na pierzynę.

- Nie mogę jej zabrać - powiedziałem na głos - jest za ciężka.

A może tu zostać na trochę? - pytałem sam siebie. - Nie. Trzeba iść przed siebie, cały czas przed siebie. Tak zrobiłby Jurek.

Wstałem, podnosząc częściowo wypełniony warzywami worek, i powoli ruszyłem w drogę. Mój zapas żywności ciążył mi niesamowicie. Robiłem częste przerwy, podczas których chrupałem marchew albo pietruszkę. Zbierałem się i noga za nogą sunąłem przed siebie, rozmyślając nad losem Jurka. Wyobrażałem sobie, że dołączył do partyzantów, przekonany o tym, iż to ja krzyknąłem śmiertelnie trafiony. I że mojego przyjaciela partyzanci odprowadzą do domu. A właściwie to gdzie ta Zamojszczyzna jest? - zacząłem się zastanawiać. Przed oczyma stanęła mi pani, która potajemnie uczyła nas geografii.

W wyobraźni ujrzałem Zamość na mapie.

- Stary, to tam u ciebie tera są Ruskie - powiedziałem pod nosem. - To partyzanci już cię do domu odstawią. Ja to mam pecha. - Idąc, zamyślony przecinałem leśne ścieżki i drożyny, czasem szedłem wzdłuż nich albo nawet nimi.

Sam nie wiedząc kiedy, wyszedłem na brukowaną drogę. Rozejrzałem się zaskoczony na boki, po czym przebiegłem na drugą stronę. Usiadłem w przydrożnych krzakach i nasłuchiwałem. W pewnym momencie do moich uszu dotarł narastający warkot silników. Szosą przejechało kilka samochodów ciężarowych.

- Droga na Modlin - mruknąłem. Odwróciłem się do niej plecami i ruszyłem na północny wschód.

Po kilku godzinach las zaczął rzednąć. Ominąłem wioskę, a przede mną znajdowała się połać otwartego terenu. Postanowiłem poczekać, aż trochę się ściemni. Wraz z szarówką ruszyłem przed siebie; po pewnym czasie doszedłem do szerokiej rzeki.

Wisła...

Już miałem szukać miejsca na nocleg, gdy do moich uszu dotarł zrazu cichutki, a potem trochę głośniejszy miarowy chlupot. Nie było jeszcze bardzo ciemno i ujrzałem spore czółno, które właśnie przybiło do brzegu. Zaraz obok łodzi znalazło się, nie wiadomo skąd, kilka kobiet, które zaczęły do niej wchodzić. Nie zastanawiając się, podbiegłem w kierunku ludzi. Dwóch mężczyzn pobierało opłatę za przeprawę. Podeszedłem do nich. Początkowo nastąpiła konsternacja i zapadła chwilowa cisza. Zaniepokojeni lustrowali mnie wzrokiem.

- Panowie, przewieźcie mnie na drugą stronę! - wystękałem błagalnie.

- Masz czym zapłacić, gówniarzu? - zapytał jeden z nich.

- Mam tylko trochę warzyw. - Wyciągnąłem przed siebie worek. - Uciekłem z transportu, ja z Marek jestem, proszę, zabierzcie mnie - mówiłem łamiącym się głosem. Zdziwiło mnie jego niemal płaczliwe brzmienie.

- Spieprzaj, parchu! - ostro powiedział drugi z przewoźników.

Kobiety, a było ich kilka, zakrzyczały mężczyzn i nalegały, żeby mnie zabrać.

- Głupie babska, to pewnie jakiś Żydek. Jak nas Niemcy złapią, to wszystkich rozwalą - upierał się drugi.

- Jak złapią, to tak czy siak nas rozwalą, zabieramy dzieciaka i koniec rozmowy - powiedziała korpulentna kobieta. - Widać, że chłopak przeszedł wiele i nie ma się gdzie podziać.

Mężczyzna machnął ręką.

- Ach baby, baby. - Spojrzał na mnie - Właż.

Usiadłem pomiędzy pasażerkami.

- Teraz cisza i ani mru-mru.

Czółno odbiło od brzegu. Po kilku chlapnięciach wiosel dotarliśmy do wysepki na rzece. Następnie opłynęliśmy ją od wschodu, kierując się do małej zatoczki. Noc była ciemna i nic nie było widać. Gdzieś w dole Wisły co jakiś czas padała seria wystrzałów, a woda niosła terkot broni maszynowej w naszą stronę. W oddali rozbłysły race. Wszystko ucichło.

W mroku nocy dobiliśmy do przeciwległego brzegu. Korpulentna pani złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Szliśmy szybkim krokiem w całkowitym milczeniu, aż dotarliśmy do jakichś zabudowań. Kobieta zastukała w okno i po chwili obydwój znaleźliśmy się w środku. Gospodarze zamienili z moją obrończynią kilka zdań. Poklepała mnie po policzku i wyszła z mężczyzną. Siedziałem na zydlu przy kuchni i wchłaniałem

przepyszny zapach pomidorówki. Dostałem miskę gorącej zupy. Pierwszą łyżką sparzyłem usta.

Po co tak grzała? – pomyślałem ze złością.

Teraz jednak dmuchałem zamasyście, a opary jeszcze bardziej wzmagały mój apetyt. Włożyłem sobie do ust dużą porcję z makaronem.

Niebo w gębie!

Kobieta w międzyczasie wymościła mi posłanie na piecu. Przykryty kożuchem zasnąłem natychmiast. To była pierwsza noc od wielu tygodni, którą spędziłem pod dachem.

Rano gospodyni domu, szczupła, niewysoka blondynka, załamała ręce, gdy spojrzała na wybiedzzonego, obsypanego czyrakami brudasa. Zarządziła kąpiel. Kiedy stałem goły w balii z gorącą wodą, musiałem wyglądać jak siedem nieszczęść. Cały w krostach, kleszczach, czyrakach i Bóg wie czym. Przez chwilę patrzyła na mnie w niemej zadumie. Zaraz jednak wzięła się za szorowanie, potem obcięła mi włosy, a po wytarciu czymś nasmarowała. Dostałem od niej ubranie. Moje łachy poszły do pieca.

Wreszcie zjadłem porządne śniadanie – jajecznicę z chlebem – popijając je kubkiem świeżo udojonego mleka. Smakowało mi niesamowicie, ale już po przełknięciu ostatniego łyku zaczął boleć mnie brzuch. Pobiegnę do wychodka; ulżyło mi. Niestety tego dnia ganiałem tam jeszcze parę razy. Po południu, jakby tego nie było dość, zaczęły mną wstrząsać dreszcze. Zupełnie odeszła mi ochota na obiad. Zagrzebałem się w posłaniu na zapiecku i zasnąłem.

Na jawie ujrzałem Jurka. Biegł, głośno dysząc, a pot zalewał mu oczy. Nie, to nie pot, tylko krew, i to nie on, tylko ja biegłem. Czułem głębokie zmęczenie, po prostu każdy miesiąc odmawiał

mi posłuszeństwa. Nagle zobaczyłem spaloną puszczańską osadę i niebo z obłokiem o ludzkiej twarzy, który do mnie mówił. Nie słyszałem, ale czułem, że woła mnie do siebie. Następnie zapadłem się w jakieś bagno i czym bardziej mnie wciągało, tym trudniej było mi oddychać. Na końcu wszystko się rozmyło i niewiele kojarzę, co się wokół działo.

Przez kilka kolejnych dni chorowałem, ledwo zwlekałem się z posłania za potrzebą. Mieszkańcy gościnnego domu poili mnie i karmili. Opiekowali się mną, jak mogli.

W końcu poczułem się lepiej i byłem w stanie opowiedzieć swoją historię. Zaproponowali, abym zostałem u nich jako parobek.

- Kąt się dla ciebie znajdzie i nie będziesz głodował - mówił gospodarz.

- Ja do domu chcę, do mamy - odpowiedziałem.

- Nie wiadomo, czy tam twoi są, może ich Niemcy wywieźli - kontynuował miłym tonem. Z jego jasnej twarzy biło ciepło, a pewne oczy skrzyły życzliwością.

Gospodyni podeszła do mnie i stojąc za moimi plecami, głaskała mnie po głowie.

- Przeczekaj u nas zimę i dopiero pójdiesz ich szukać - powiedziała. Słodkie brzmienie jej głosu i palce delikatnie przebierające moje włosy wprowadziły mnie w stan błogości. Przez moment byłem gotów na to przystać.

- Wiosną to już ta cholerna wojna się skończy i ludzie z wywózki będą wracać - dodał mężczyzna.

- Dziękuję za wszystko, ale jednak pójdę - powiedziałem zdecydowanie, strząsnąwszy z siebie ospałość.

- Nie pozwalam - wybuchła kobieta, ściskając mnie za ramiona.

Na głowie poczułem jej oddech i po chwili pocałunek.

- Jestem wdzięczny za opiekę. Muszę ruszać - powiedziałem sucho, wstając z krzesła.

- Niech tak będzie - przystał gospodarz. - Słuchaj, drogami teraz dużo wojskowych samochodów jeździ, zatrzymuj je, to może Sowieci albo berlingowcy cię podwiozą.

Jego żona, szlochając, wyszła z kuchni. Mężczyzna przyłożył do twarzy swe grube spracowane dłonie. Wziął kilka głębokich oddechów.

- Nasz syn starszy jest od ciebie. Jak tylko wybuchło powstanie, poszedł się bić.

- Do Warszawy?

Odejmując ręce, spojrzał na mnie smutno.

- Nie, tu opodal, w Legionowie, też się zaczęło 1 sierpnia. Zdobyli magazyny, zniszczyli kilka czołgów. Bili się parę dni, ale czerwoni nie przyszli, a Niemcy przerzucili nowe siły. Przeszukiwali okoliczne chałupy, jak znaleźli coś wojskowego, to ogień i śmierć. - Zamilkł na moment, wpatrując się w przestrzeń.

- Nasz Alek najpierw poszedł z oddziałem do lasu, a potem przepłynął na drugą stronę Wisły, na pomoc Warszawie. Paru jego kolegów wróciło, ale nie wiedzą, co się z nim stało. - Zamilkł.

Zaskrzypiała podłoga. Jego żona, już spokojniejsza, weszła, trzymając w rękach kilka rzeczy. Dobrzy ludzie dali mi buty i sweter, i płaszcz. Wyglądał na mnie jak na szcztotce, ale można się było nim dobrze owinać. Podziękowałem serdecznie, całując obydwójce po rękach. Kobieta wręczyła mi na drogę węzełek z jedzeniem. Rozplakała się.

- Niech Bóg wam wynagrodzi, gospodarze.

- Niech Bóg cię prowadzi - powiedział mężczyzna, kreśląc znak krzyża w powietrzu.

*

Kroczyłem drogą w kierunku Jabłonny, machałem na przejeżdżające auta, aż wreszcie jedno się zatrzymało. Żołnierze wciągnęli mnie na półciężarówkę, jechali do pobliskiego szpitala polowego. Okazało się, że to Polacy, choć na rogatywkach mieli dziwne wrony. Opowiedziałem im o swoich przeżyciach. Starszy wiekiem żołnierz słuchał mnie w milczeniu, wyraźnie coś lub kogoś wspominał.

- Na Wołyniu jak w zeszłym roku upowcy zaczęli rznąć naszych na potęgę, to smyki w twoim wieku przyłączały się do partyzantki - odezwał się śpiewnie. - Z jednym cały szlak 27 Dywizji przeszliśmy, ramię w ramię bijąc Ukraińców i Niemców. Dzielny był z niego bojownik.

- A co z nim się stało?

- Nie wiem, straciłem go z oczu tuż przed forsowaniem Prypeci. - Żołnierz głęboko się zamyślił.

Zajechałem z nimi do leśnego szpitaliku. Wokół drewnianego budynku stało kilka dużych namiotów. Zaprowadzili do lekarza, ten nakazał hospitalizację, leczenie czyraków oraz świerzbu. Siłą mnie zatrzymał. Nasmarowali całe moje ciało jakimiś śmierdzącymi maściami, a głowę posypali dziwnym proszkiem. Dostałem gorącą zupę i gulasz z chlebem; wsunąłem z apetytem. Przespałem się w lazarecie, ale nie w smak było mi tam siedzieć, skoro od domu dzieliło mnie ledwie kilka kilometrów. Do tego ten dziwny zapach - śmierdziało ni to lekarstwami, ni to zgniłym mięsem. Niektórzy ranni poowijani w bandaże od stóp do głów nie dawali znaku życia, a inni bez przerwy jęczeli. Zawinąłem się w swój płaszcz i rano chciałem dać drapaką, ale stojący na warcie berlingowiec zatrzymał mnie i odprowadził do dyżurnego.

Rozpoznałem wąsatego Wołyniaka, z którym jechałem półciężarówką.

- Panie plutonowy, ja muszę do domu. Puśćcie mnie, no choć na chwilę.

- Słuchaj, młody, najpierw trzeba cię podleczyć - mówił podoficer. - Ja tak myślę, że ty, biedaku, rodziców w domu nie zastaniesz niestety. Zostań synem pułku, wykurujesz się i pójdziesz z nami bić szwabów. Pomścimy twoich, bo pewnie sam jesteś na tym świecie jak palec.

- Jeśli się okaże, że mojej rodziny nie ma w Markach, to wrócę do was - obiecałem.

Podoficer pokręcił wąsem, połykał na mnie spode łba i zawołał kierowcę. Kazał podwieźć mnie do torów wąskotorówki. Idąc wzdłuż nich, doszedłem na Żerań. Tam zatrzymałem sowiecki samochód terenowy. Dowiedziałem się, że żołnierze jadą właśnie do Marek. Zabrali mnie ze sobą.

Akurat była niedziela i kościół pękał w szwach. Wcisnąłem się do środka, zobaczyłem uczestniczący w nabożeństwie oddział Wojska Polskiego. Pięknie wyglądali w zielonych mundurach, w rogatywkach i z bronią. Próbowałem szukać rodziców już w środku, ale panował tam taki ścisk jak w pierwszym transporcie, którym jechałem. Zrezygnowałem z przepychania się między ludźmi i wyszedłem na zewnątrz, usiadłem przy wejściu. Opatulony w podarowany płaszcz doczekałem końca mszy. Najpierw ze świątyni wymaszerowali żołnierze, tłukąc podkutymi butami o posadzkę. Potem zaczęli wychodzić parafianie. Przyglądałem się uważnie, ale nikogo z mojej rodziny nie zauważyłem. Kilka osób znałem z widzenia i choć uśmiechałem się do nich i je pozdrawiałem, to ich reakcja była zaskakująca. Na ogół odsuwali się, a pan woźny ze szkoły syknął do mnie:

- Paszoł won!

Zdziwiony takim zachowaniem, postanowiłem natychmiast pójść do domu. Po drodze kłaniałem się mijanym znajomym. Ci również dziwnie na mnie spoglądali, traktując jak obcego. Kiedy zbliżałem się do budynków z czerwonej cegły, coraz głośniejszy słyszałem uderzenia swego serca. Zatrzymałem się przed naszym domem. Przez okno zauważyłem ruch w środku.

Tylko czy to moi są? A może wszyscy zginęli przeze mnie? Szwaby dowiedzieli się, jak mam na nazwisko, i zabili! Uciekać mi się zachciało! Morderca! Dlatego tak mnie wszyscy traktują. Trzeba było zostać u gospodarzy! Rację miał plutonowy, sam jestem jak palec. Do wojska trzeba i na front. Zabijać i zapomnieć - takie myśli kłębiły mi się w głowie. Już miałem odwrócić się i czmychnąć, gdy nagle w drzwiach od sieni stanął Stasiek. Podbiegłem uszczęśliwiony i złapałem go pod pachę. Zdecydowanie wszedłem do środka. Mieszkanie pachniało znajomo. Zobaczyłem zaskoczenie i zdziwienie w oczach rodzeństwa, matka krzątała się przy kuchni. Odwróciła się do mnie twarzą, widać było, że nie rozpoznała przybysza. Stasiek głaskał mój policzek, zaśmiewając się w głos.

- Mamo, wróciłem - wydusiłem z siebie przez zaciśnięte gardło.

W jej oczach ujrzałem niedowierzenie.

- Dzidek? - wypowiedziała niepewnie moje przezwisko i osunęła się na kolana.

Podbiegłem do mamy i objąłem ją wolną ręką, mocno się przytulając. Spojrzałem w lustro na ścianie i sam przestraszyłem się swego odbicia.

*

Tak dobiegła końca moja odyseja. Do domu dotarłem w listopadzie 1944 roku, dziś nie pamiętam dokładnie, którego dnia. W każdym razie moja tułaczka trwała ponad trzy miesiące. Trzy najdłuższe miesiące mojego życia, w czasie których nieprzerwanie towarzyszyła mi myśl o powrocie do domu.

Przez kilka kolejnych tygodni wracałem do zdrowia. Pomagał mi w tym sowiecki lekarz z polowego szpitala. Trzeba przyznać, że szybko nabierałem sił. Maści, leki, zastrzyki i jedzenie robiły swoje. Największy jednak wpływ, wiem to na pewno, miała moja rodzina, szczególnie mama.

Mój ojciec przeżył okupację i byliśmy w komplecie do 1946 roku, kiedy to pewnej nocy pojawili się w domu dwaj nieznani mi panowie w bryczesach i oficerkach. Rozmawiali z tatą jak znajomi. Ojciec oświadczył mamie, że musi coś załatwić i wróci za dwie godziny. Nigdy więcej już go nie zobaczyliśmy. Nigdy nie udało nam się wyjaśnić jego zaginięcia.

Po pewnym czasie starałem się odtworzyć drogę mojej eskapady. Wydaje mi się, że zidentyfikowałem kilka miejsc. Próbowałem dotrzeć do mężczyzny, który nakrył nas w swoim stogu siana. Chciałem mu podziękować, były to jednak lata komunistycznego terroru i gdy rozmawiałem z kobietami z puszczańskiej osady, nie chciały mi nic powiedzieć. Opisanego mężczyzny nie znały i mówiły, że takiego tu nigdy nie było.

Udałem się również do gospodarzy, do których trafiłem po przekroczeniu Wisły. Dom stał jednak w ruinie, a napotkani ludzie unikali rozmowy. Dopiero od jakiegoś staruszka dowiedziałem się, że mych dobroczyńców czerwoni uznali za Niemców i wygnali.

Patrząc dziś na swoje dorosłe życie, zauważam, że okres ucieczki miał na nie olbrzymie przełożenie. Jurkowe spostrzeżenia typu: *nie wierz ludziom, nie przyzwyczajaj się do prowizorki, stale*

zmierzaj do celu czy jak sam nie zrobisz, to nie będzie wykonane należycie, towarzyszą mi po dzień dzisiejszy. Czy to dobrze? Nie wiem. Taki już jestem.

Czy zrealizowałem swoje postanowienie o objechaniu Polski? Można powiedzieć, że tak. Był taki czas, że pracowałem jako kierowca PKS-u. W końcu kupiłem sobie motocykl, a potem kilka samochodów osobowych. Brałem udział w amatorskich rajdach organizowanych przez Polski Automobilklub. Najeździłem się w swoim życiu, aż uznałem, że to już nie dla mnie. Zestarzałem się.

Przez całe lata nikomu nie opowiadałem o swojej ucieczce i wędrówce, trzymając ją w tajemnicy. Dopiero z wiekiem zacząłem dzielić się wspomnieniami z młodszym pokoleniem. Wszyscy, którzy o tym się dowiedzieli, są świadomi, że wróciłem dzięki chłopakowi z Zamojszczyzny.

Niestety nie odnalazłem Jurka, któremu tak wiele zawdzięczam. Dziś nawet nie jestem pewien, czy tak miał na imię. Nie mogę wyzbyć się przekonania, że mój przyjaciel zginął w potyczce partyzantów z Niemcami. Zapewne to jego okrzyk słyszałem.

Czasem, gdy zamykam oczy, widzę jego łobuzerski uśmiech. Och, ile bym dał, by móc go spotkać raz jeszcze! By móc uściskać mojego druha.

Podziękowania niech przyjmą:

Bronisław Przybysz,

Wanda Przybysz,

Dominika Tymińska,

Jan Tymiński,

Bogusz Tymiński,

Laura Krzywicka,

Zuzanna Łubiarz,

Paweł Pomianek,

Zarząd Regionu Mazowieckiego NSZZ Solidarność 80

Wydawnictwo Novae Res

Tasman, Riplej i Piksel

Przybysz

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-886-4

© Piotr Tymiński i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paweł Pomianek

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



Wydawnictwo oraz autor, dziękują Regionowi Mazowieckiemu
NSZZ „Solidarność”-80 za wsparcie finansowe publikacji.